



Głos ANGLIJ



TYGODNIOWY PRZEGLĄD SPRAW BRYTYJSKICH

Rok I.

Kraków, dnia 21 grudnia 1946

Nr. 8-9

Od Redakcji

Składając Czytelnikom naszym w całej Polsce najlepsze życzenia świąteczne, korzystamy z tej sposobności, by wyrazić im swą wdzięczność za okazaną nam życzliwość i poparcie. Otrzymujemy wiele listów od naszych polekich przyjaciół, w których piszą nam, o czym chcieliby się z Głosem Anglii dowiedzieć i podsuwają nam tematy artykułów.

Notujemy sobie te życzenia i projekty i postaramy się w przyszłości spełnić jak najlepiej stawiane nam żądania. Ilość tematów, które chcielibyśmy poruszyć w naszych artykułach, jest jednak już dziś tak duża, że tylko stopniowo będziemy mogli zaspokajać rozległe zainteresowania czytelników.

Otrzymujemy wciąż listy, w których mieszkańcy różnych miast i miasteczek skarżą się, że nie docho- dź do nich nasze piśmo. Winni im jesteśmy słowa usprawiedliwienia. Zapotrzebowanie na „Głos Anglii” okazało się większe, niż przewidzieliśmy w naszych początkowych obliczeniach — i chociaż podwoiliśmy nakład po ukazaniu się dwu pierwszych numerów, ciągle jeszcze nie jest on wystarczający.

Zdajemy sobie sprawę z wielu błędów i braków naszego piśma. Niektóre z nich pochodzą z niezależnych od nas przyczyn natury technicznej; inne staramy się i będziemy się jak najusiłniej starać usunąć lub naprawić. Dlatego też cenne są dla nas zawsze wszelkie słowa szczerzej i poważnej krytyki od każdego z naszych czytelników.

Popularność „Głosu Anglii” przekonała nas, że istnieje szczerze zainteresowanie się Polaków tym, co się dzieje w W. Brytanii i na terenie całej Wspólnoty Narodów. Ponieważ pragnienie poznania i zrozumienia polskich spraw jest niemniej silne w Anglii — zorganizowanie wymiany informacji i wiadomości jest dziś rzeczą szczególnie ważną. Tygodnik nasz jest odpowiednikiem kilku czasopism polskich, wychodzących w W. Brytanii, których zadaniem jest informowanie Anglików o Polsce. Jedyne drogą takiej wymiany poglądów, które nie mają na celu propagandy, lecz uczciwą, bezstronną informację o sprawach politycznych i kulturalnych — osiągnąć można zbliżenie międzynarodowe i powszechne zrozumienie faktu, że łącząca wszystkie narody więź człowieczeństwa jest czymś o wiele głębszym, niż powierzchowny izolacjonizm polityczny.

Dziękujemy wszystkim naszym czytelnikom za ich przyjazne życzenia i życzymy im wzajemnie Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.

R.A.F. pomaga świętemu Mikołajowi

Władze transportowe R. A. F. dostarczyły samolotów, które przewożą tygodniowo około 2 ton przesyłek pocztowych do Australii, by umożliwić dostarczenie na czas podarunków świątecznych i życzeń. Dwa specjalne samoloty będą użyte dla obsłużenia Zachodniej Afryki, jeden w czasie między 7—14 grudnia, drugi w następnym tygodniu. Większość tych przesyłek pocztowych przeznaczona jest dla ludności cywilnej. Na Dalekim Wschodzie R. A. F. pomaga w rozwiązaniu problemu przesyłek świątecznych, przewożąc pocztę lokalną między Kalkutą Rangunem, Singaporem i Hong Kong.

Władze transportowe podjęły się tego zadania, niezależnie od wykonywanych normalnie czynności. The Air Priorities Board (Rada Przywilejów Transportu Lotniczego) chce, żeby dostarczenie poczty świątecznej w naszym nie naruszyło komunikacji pasażerskiej.



Karta świąteczna przez J. C. Horsley. 1843, narysowana dla pierwszego dyrektora Muzeum South Kensington, Sir Henry Cole. Ta karta świąteczna o ile wiadomo, jest pierwszą, która ukazała się w Anglii, powielona jako litografia w 1000 egzemplarzach ręcznie kolorowanych. W sprzedaży ukazała się w r. 1846.

Życzenia dla Polski nadstawane z Anglii

Miło mi skorzystać z pośrednictwa „Głosu Anglii”, by przesłać narodowi polskiemu, dla którego mamy wiele szczerzej przyjaźni, najserdeczniejsze życzenia świąteczne. Zwiedziłem w tym roku Wasz zniszczony kraj. Oby nadchodzący rok zaprowadził go daleko na drodze odbudowy.

Hartley Shawcross

(Sir Hartley Shawcross, brytyjski prokurator generalny).

Organizacja „Save the Children Fund” jest znana na całym świecie ze swej apolitycznej działalności humanitarnej. Celem organizacji jest nie tylko ratowanie dzieci od groźnej im bezpośrednio nędzy, ale również zabezpieczenie ich przed takimi wpływami, które mogłyby przeszkodzić rozwojowi dziecka i jego wyrosnięciu na pożytecznego i zdrowego obywatela. Organizacja ze szczególnym zadowoleniem rozpoczęła pracę na terenie Polski. W czasie wojny bardzo wielu z nas miało sposobność poznać z bliska Polaków, kiedy to liczne oddziały waszego wojska służyły w naszym kraju i wzięły bohaterski udział w bitwie o Wielką Brytanię. Obecnie myślimy o nich nie jako o żołnierzach, marynarzach czy lotnikach, ale jak o ojcach rodzin, których troski i starania o dobrobyt ich dzieci nie różnią się od naszych własnych.

Rozpoczęliśmy naszą działalność w Polsce od okolicy Nieporęt. Dowiedziałem się z radością, że nasi pracownicy zostali tam gorąco przyjęci i że miejscowi obywatele współpracują z nami umiejętnie w dostarczaniu posiłków dzieciom szkolnym; że medycy i lekarze pomagają w naszym ośrodku opieki, w którym mamy do czynienia przede wszystkim z dziećmi i matkami, oczekującymi i karmiącymi; wreszcie, że ludność miejscowa również przychodzi nam z pomocą w różnych dziedzinach opieki nad dziećmi, np. ułatwiając dostarczanie im rozrywki.

Polska jest oczywiście tylko jednym z licznych krajów świata, w których nasza organizacja stara się przyjść z pomocą i dać lepsze warunki życia dzieciom, które wskutek wojny znalazły się w ciężkim położeniu. Do Polski odnosimy się wszakże jako do jednego z najważniejszych terenów naszej pracy. Jako prezes organizacji, cieszę się ze sposobności przesłania Wam w tym świątecznym okresie dobrej woli najlepszych życzeń w imieniu znajdujących się w Anglii kierowników tej pracy, której przedstawicielami są w Waszym kraju Miś Mośa Anderson i jej współpracownicy.

Noel Buxton

(Lord Noel Buxton, prezes brytyjskiej organizacji Save the Children Found (Ratujcie dzieci), honorowy członek Międzynarodowego Związku Opieki nad Dzieckiem w Genewie).

Wstępne prace nad traktatami z Niemcami

Rada Ministrów Spraw Zagranicznych spotkała się ponownie, by podjąć wstępne rozmowy o projektowanym porządku obrad przyszłej konferencji, dotyczącej Niemiec, która odbędzie się w Europie prawdopodobnie w lutym. Minister Mołotow zaproponował Moskwę jako miejsce obrad, biorąc pod uwagę fakt, że ministrowie spotykali się już w Nowym Jorku, Londynie i Paryżu. Kolejdy jego jednak wykazały mało entuzjazmu na myśl o srożej zimie rosyjskiej, która przecież zmusiła do odwrotu Napoleona i Hitlera.

Pierwsza konferencja na temat Niemiec skończyła się wcześniej niż zwykle, aby umożliwić ministrowi Bevinowi wyjazd do Waszyngtonu, gdzie miał się zobaczyć z prezydentem Trumanem.

Pierwsza propozycja, dotycząca traktatu z Niemcami, wykazały, jak zwykle, sprzeczne zapatrywania. Minister Byrnes zaproponował stworzenie specjalnej grupy delegatów, która wykonałaby próbny zarys planu traktatu z Niemcami. Ci delegaci byłiby upoważnieni do wysłuchania propozycji małych państw, sąsiadujących z Niemcami, takich jak: Polska, Belgia, Czechosłowacja, Dania, Luksemburg i Holandia. Będą mogli również wysłuchać każdego innego państwa, które zechce zabrać głos; dotyczy to członków Brytyjskiego Imperium, takich jak Australia i Nowa Zelandia.

Propozycja min. Byrnesa znalazła poparcie Francji i W. Brytanii. Minister Mołotow sprzeciwił się jej. Wyraził zdanie, że mała będzie korzyść z poznania zapatrywań innych, zanim sama Rada nie ustali ogólnych zarysów przyszłego traktatu. Możliwe, że to stanowisko min. Mołotowa spowodowało uwagę min. Byrnesa, że nie pojedzie on do Europy po raz ósmy, dopóki nie wyczuje, że istnieje konkretna nadzieja uzyskania pomyślnej zgody.

Stany Zjednoczone zrobiły inną propozycję, której Rosja również się sprzeciwiła, przynajmniej na razie. Był to projekt, mówiący o znacznej redukcji liczby wojsk okupujących Europę. Stany Zjednoczone zaproponowały, ażeby do wiosny zarówno one jak i W. Brytania zmniejszyły liczbę swych wojsk w Niemczech do 140.000. Rosja miałaby w Niemczech 200.000 żołnierzy, a Francja 70.000. W Austrii Stany Zjednoczone i Anglia miałyby załogi po 10.000 ludzi.

Plan Stanów Zjednoczonych przewiduje za rok dalszą redukcję sił okupujących o 24-30%.

Minister Byrnes z obawą śledzi nowy Kongres Republikański, który 3 stycznia rozpocznie urzędowanie. Minister kładzie nacisk na surowe oszczędności w wydatkach rządu, dotyczących wszystkich dziedzin. Obawia się, że jeżeli nie uzyska się obecnie zgody na zmniejszenie amerykańskich wydatków, Kongres może pójść dalej i ograniczyć je jeszcze bardziej.

Jednym z punktów amerykańskiej propozycji było to, by zwrócić się do Alianckiej Rady Kontrolnej, by ta ostatnia doradziła Radzie Ministrów Spraw Zagranicznych formę przyszłego rządu niemieckiego.

Amerykanie zrobili następującą listę zagadnień, które wymagałyby przedyskutowania:

- 1) Sprawa przyszłych granic Niemiec, włącznie z rozwiązaniem zagadnienia Zagłębia Saary.
- 2) Rozbrojenie.
- 3) Zgodne traktowanie spraw ekonomicznych i politycznych przez cztery mocarstwa.
- 4) Charakter ewentualnego rządu niemieckiego.
- 5) Traktaty z Niemcami i Austrią.
- 6) Ograniczenie liczby wojsk okupujących, o którym wyżej wspomniano.

Obserwatorzy spotkania, mającego miejsce 5 grudnia, nie wierzą, aby nieustępliwość Rosji oznaczała jakąś istotną zmianę w obecnej polityce ugody i kompromisów. Uważają oni, że bieg wypadków był po prostu zbyt szybki w stosunku do możliwości łączności między Waldorf Astoria a Kremlem.

Z pewnych źródeł dowiadujemy się, że w czasie spotkania Ministrów Spraw Zagranicznych w dniu 5 grudnia minister Mołotow zgodził się, aby rozpatrzyć sprawę Austrii na przyszłej sesji Rady Ministrów Spraw Zagranicznych.

Min. Byrnes zaprojektował mianowanie specjalnego komitetu delegatów, któryby przygotował traktat z Austrią. Zrobił on następujące propozycje:

Ci specjaliści delegaci mają naszkicować plan traktatu, któryby uznawał niepodległość Austrii, celem przedstawienia go w Radzie Ministrów Spraw Zagranicznych. Jeśli będzie odpowiedni, traktat ten będzie

dzie szeń po linii uzgodnionej w traktatach bałkańskich. W czasie opracowywania traktatu z Austrią musi się wziąć pod uwagę propozycje już przedstawione przez rząd amerykański i brytyjski, jak również dotychczasowe projekty członków Rady Ministrów Spraw Zagranicznych.

Sprawozdanie tych delegatów będzie rozpatrywane na następnym spotkaniu Rady Ministrów Spraw Zagranicznych. Specjalną uwagę powinno się zwrócić na problem aktywów niemieckich w Austrii, o ile delegaci nie będą w stanie rozwiązać go. Zanim traktat zostanie zawarty, liczba wojsk każdego z okupujących mocarstw ma być zredukowana do maksimum 10.000.

Okupacja Japonii

Brygadier Fitzroy Maclean (konserwatysta) zapytał w Izbie Gmin premiera, czy jest jego zamiarem utrzymać brytyjskie siły okupacyjne w Japonii. Lord prezydent Rady, Herbert Morrison, odpowiedział w imieniu premiera: „Tak, lecz mogą ulec redukcji. Rząd angielski usilnie pragnie zmniejszyć swoje załogi wojskowe na całym świecie. Mając na uwadze już osiągnięty w Japonii stopień normalizacji pod okupacją aliancką, rząd rozważa możliwość redukcji elementu brytyjskiego w siłach okupacyjnych Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, stacjonujących w Japonii”.

„Ponieważ chodzi także o siły z innych krajów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a dowództwo spoczywa w ręku Australii, przeto dyskutujemy obecnie tę możliwość z rządami Australii, Nowej Zelandii, Indii. Rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej oraz gen. Mac Arthur zostali poinformowani o naszym wniosku”.

„Chciałbym podkreślić, że mamy na uwadze jedynie częściową redukcję angielskich sił zbrojnych. Nie dotyczy to stanu liczebnego RAF i marynarki królewskiej”.

Anglik spieszy z pomocą polskiemu dziecku

Radio brytyjskie doniosło, że w odpowiedzi na gorący apel ze strony Polaków o dostarczenie surowicy, stosowanej w leczeniu Hejne Medina dla chorego dziecka w Poznaniu — zgłosił się natychmiast dobrowolny ofiarodawca angielski i surowica została wysłana do Warszawy samolotem, przez Pragę. Ojcem dziecka jest dr. Roman Bołoszycki, profesor uniwersytetu poznańskiego.

Państwo żydowskie w Palestynie

Decyzja, którą powzięła Żydowska Agencja w sprawie czynnego wystąpienia przeciw terrorystycznym grupom w Palestynie, nie rokując żadnego istotnego zmniejszenia się ilości aktów gwałtu.

Krzywdzącym wprowadzić byłoby kwestionowanie szczerości Żydów w potępieniu teroru, względnie lekceważenie środków zaradczych, niewątpliwie stosowanych. Coraz wyraźniej jednak widać, że Agencja Żydowska wraz z współpracującymi z nią grupowaniami politycznymi odwraca się od dwóch realnych środków zaradczych. Są to:

Czynna współpraca z policją i wojskiem, przy równoczesnej wymianie wszelkich wiadomości, oraz prawdziwa pomoc w dochodzeniach.

„Wypowiedzenie wojny” terrorystom przez nielegalną ale powszechnie uznaną armię obronną Hagana — liczną i dobrze dowodzoną. Początkowo może to przyczynić się nawet do rozlewu krwi, jednak szybko i nieodwołalnie doprowadzi do rozkładu ugrupowań Irgun Zwa'ei Leumi i Stern.

Wydaje się jednak, że Agencja Żydowska, zamiast postawić te dwa kroki, podjęła program „działalności wychowawczej”. Prasa i przywódcy wykazują terrorystom szaleństwo ich czynów oraz kazywający wpływ, jak ten much wywiera na prestiż i przyszłość Syjonizmu.

Godzinna konferencja min. Bevina z prez. Trumanem

Omówiono wiele zagadnień międzynarodowych

Min. Bevin złożył prezydentowi Trumanowi oficjalną wizytę w Białym Domu. Rozmowa trwała całą godzinę, chociaż przewiduje się na ogół tylko 10 minut na tego rodzaju wizytę.

Wysoki urzędnik angielski stwierdził, że prezydent Truman i min. Bevin „przemierzyli cały świat”, omawiając większość problemów anglo-amerykańskich. „Osiągnięto ogólną zgodę we wszystkich punktach, łącznie z zagadnieniami Środkowego Wschodu i Niemiec”.

Min. Bevin w towarzystwie lorda Inverchapel, ambasadora W. Brytanii w Stanach Zjednoczonych, został przyjęty przez prezydenta Trumana i sekretarza stanu, Dean Achesona.

Prezydent Truman oświadczył, że rozmowa była nader przyjemną pogawędką, obejmującą bardzo szerokie pole spraw zagranicznych. Wizyta miała charakter towarzyski, lecz

rozmowa zwróciła się naturalnie ku zagadnieniom zagranicznym.

Dyskusja nad Palestyną

Chociaż szczegóły rozmowy nie są dostępne, dowiadujemy się z opublikowanej ostatnio wymiany listów między min. Bevinem a min. Byrnesem, że sprawa palestyńska zajmowała naczelną rolę.

Z listów wynika, że Stany Zjednoczone zamierzają wysłać obserwatora na konferencję, która ma się odbyć w przyszłym miesiącu w Londynie, jeśli będą reprezentowani zarówno Żydzi jak Arabowie i jeśli spotkają się na równych prawach. Min. Bevin zapewnił, że wszystkie propozycje delegacji arabskiej, żydowskiej i brytyjskiej zostaną potraktowane na równi. Stwierdził on również w swym liście, że przywódcy żydowscy, z którymi ostatnio konferował, uważają obecnie, iż propozycja podziału Palestyny jest najlepszym rozwiązaniem na długą metę.

Fuzja brytyjskiej i amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech

Podpisanie porozumienia w tej sprawie jest zasadniczym krokiem naprzód w polityce brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, zamierzającej ku stworzeniu podstaw gospodarczych dla Niemiec, które mają być zdrowe i nieagresywne. Mielśmy — i mamy nadal — nadzieję, że pozostałe mocarstwa okupujące przyłączy się do nas i do Amerykanów, aby wspólnie stworzyć owe podstawy. Dotychczas nie stało się tak, lecz droga jest wciąż otwarta dla Francji i Rosji. Mogą one przyłączyć się do nas, by przedsięwziąć potrzebne kroki. Projekt powinien w międzyczasie przyczynić się do stabilizacji

gospodarczą w obu zachodnich strefach i dać Niemcom zadatek metod demokratycznych.

Wprowadzenie w życie tego planu umożliwi Niemcom w coraz większym stopniu przejmowanie odpowiedzialności za odbudowę swego życia ekonomicznego i politycznego. Powstrzyma to też wzrost wielkiej ilości niedostatecznie płatnych posad, któryby (w razie trwania obecnego stanu), spowodował znaczne obniżenie zachodniej stopy życiowej. Zdejmie to ciężar wielkiego ciężaru z bark brytyjskich i amerykańskich władz okupacyjnych i da Niemcom tak bardzo pożądane doświadczenie w dziedzinie samorządu i odpowiedzialności demokratycznej.

Poprawa stanu przymusowego nieróbstwa

Nowy system nie przewiduje niemieckiego handlu zagranicznego i przemysłu w takim stopniu, aby Niemcy stać się mogły bezpośrednim lub pośrednim zagrożeniem dla swoich sąsiadów. Chodzi o to, by Niemcy rozporządzać mogły dostateczną ilością surowca i sprzętu w stanie używalności, aby ich wytwórczość pokryła koszty minimalnie koniecznego importu. Oznacza to zmniejszenie ciężaru, który spoczywa na brytyjskim i amerykańskim płatniku podatkowym. Z biegiem czasu rządy W. Brytanii i Ameryki nie będą musiały płacić ciężkiej daniny na rzecz Niemiec, nie uzyskując wzajemian żadnej rekompensaty. Równocześnie odżyje stopniowo niemiecki handel i przemysł i łatwiej będzie o pracę dla Niemców. Wytwie ich to ze stanu nędzy i przymusowego nieróbstwa, w którym tyłu z nich znajduje się obecnie.

Minister spraw zagranicznych zamierza odbudować niemiecki przemysł na pokojowych i zdrowych zasadach. Pragnie on tego dla dobra Europy, jako całości, w czym zawiera się osiągnięcie przez Niemców przyzwoitej stopy życiowej.

Porozumienie, o którym mowa, daje realny kształt dawniejszemu oświadczeniu ministra spraw zagranicznych, że postanowił, by brytyjska strefa okupacyjna była wzorem owocnej pracy.

Amerykańska propozycja fuzji ekonomicznej nastąpiła po paryskim oświadczeniu min. Bevina, że zorganizuje on brytyjską strefę okupacyjną tak, by przestała być ciężarem dla brytyjskiego płatnika podatkowego. Propozycja amerykańska stanowi szczęśliwą okazję do dalszej pracy w tym kierunku.

Następny, dziesiąty numer „Głosu Anglii” ukaze się po tygodniowej przerwie z datą 4. stycznia 1947 r.



Choirka w opactwie Westminster, w którym (jak i w innych kościołach) ustawia się ją co roku na Boże Narodzenie. Zwyczaj przystrojania choirki nie jest szczególnie dawny, datuje się bowiem od roku 1841. Obecnie choirka jest ośrodkiem uroczystości Bożego Narodzenia: wieszka się na niej podarki. W kościołach na choirce zawieszają się dary dla ubogich.

Z dniem 15 grudnia radio brytyjskie zmieniło czas nadawania wiadomości wieczornych z godziny 23.15 na 21.30. Czas trwania tej audycji wynosi od teraz pół godziny.

LAVRENCE GILLIAM

Znowu w domu...

Audycja gwiazdkowa radia brytyjskiego

Program gwiazdkowy BBC będzie olbrzymim radiowym zebraniem rodzinnym. W pierwszy dzień świąt, od godziny drugiej do trzeciej po południu, mikrofon okrąży Zjednoczone Królestwo, Europę i Brytyjską Wspólnotę Narodów. Ta godzinna audycja poprzedzi doroczne przemówienie gwiazdkowe króla Jerzego VI do ludów całej Wspólnoty Narodów. Wszystkie rozgłośnie BBC, nadadzą ową audycję; zostanie ona także transmitowana przez radiostacje Wspólnoty Narodów i przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Oznacza to, że ten właśnie program będzie miał największą ilość słuchaczy na całym świecie.

Kierownicy audycji: Leonard Cottrell i ja, zaczęliśmy prace nad nią już z początkiem października. Od tej chwili aż do gwiazdki spędzamy życie na ustawicznych zebraniach, rozmowach telefonicznych i przelotach do wszystkich zakątków Anglii i Europy. Oto pokrótce temat tegorocznego programu, który rozesłał się współpracownikom naszym w wielu częściach świata.

„W zeszłym roku w dzień świąt Bożego Narodzenia miliony ludzi były jeszcze w drodze do domu po przebranych trudach wojennych. Tego roku większość jest już znowu w do-

mu. Jak wyglądają święta po pierwszym roku ponownie rozpoczętego życia rodzinnego, odbudowy zombardowanych miast i przejścia z wojska do życia cywilnego; jak dajemy sobie radę jako jednostki i jako narody? Poznajmy się, nie poprzez konferencje rządów, lecz bezpośrednio z jednostkami; przekroczmy granice i zajrzyjmy wzajemnie do swoich domów. Niech mikrofon umożliwi szerokim masom wszystkich krajów przewyższenie odległości, by przeprowadzić mogły braterską rozmowę”.

W Szkocji odszukaliśmy byłego jeńca wojennego, mamy nadzieję, że on i jego rodzina, będą w stanie przemówić do pewnej dzielnej kobiety z włoskiej akcji oporu; jej to bowiem i wielu innym nieznanym bojownikom ruchowi oporu w Europie tyjsięce żołnierzy alianckich zawdzięcza swoją gwiazdkę na łonie rodziny. Z Unii Południowo Afrykańskiej przychodzi propozycja żywej, barwnej transmisji od pewnej grupy tubylczych górników w Johannesburgu. Dwa dni temu objeżdżała prowincję angielską, by odszukać gospodarza, który zamienił wojenne lotnisko na pole pszenicy. Przeprowadzimy interwiew jednocześnie z nim i z rolnikiem holenderskim, który także pra-

kuje na odzyskanej ziemi i wydobywa z niej plony życia i pokoju, miast pracować dla wojny i zniszczenia. Grupa inżynierów BBC, odleciała do samotnej latarni morskiej na wyspach Scilly celem przeprowadzenia prób. W razie powodzenia tychże, mamy nadzieję skontaktowania latarnika z jedną z latarni po drugiej stronie Atlantyku.

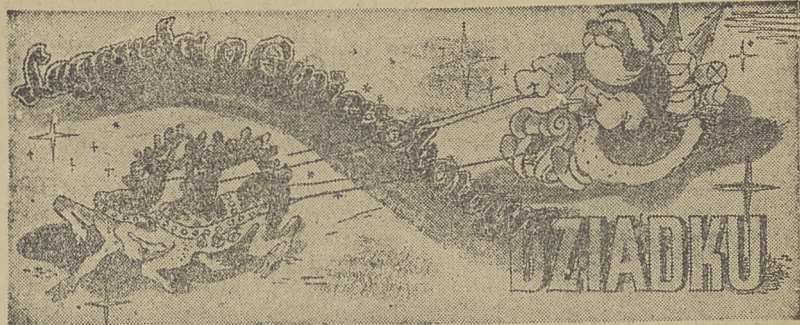
Organizacja programu na tak wielką skalę wymaga wysoce rozwiniętej współpracy pomiędzy poszczególnymi towarzystwami radiofonicznymi na całym świecie. Technika tej współpracy została rozbudowana w ciągu długich lat i po zastój, jaki panował podczas drugiej wojny światowej, a obecnie osiągnęła szczyt sprawności. Wojna rzuciła ludzi z radia zarówno tych, którzy układali programy, jak pracowników technicznych w okoliczności i miejscu zgola niespodziewane. Doszli oni do przekonania, że tworzą niemal międzynarodową klasę ludzi, posługujących się tym samym językiem. Tak więc rzeczoznawcy radiowi orientują się od razu, o co chodzi i dostarczają czego się żąda, jeśli np. ktoś z innego kraju roztrząsa sprawę zmiany długości fali, synchronizacji czasu, czy inne zagadnienia. Istnieje wielkie wzajemne zaufanie; dodaje ono sił każdemu, kogo zadaniem jest organizowanie transmisji na miarę ogólno-swiatową. Ma się pewność, że gorliwi fachowcy obsługują tablice rozdzielcze i wyłączniki, śledząc skrypty i czekając na hasło. Gdy program jest w toku, daje on (względnie powinien dać) słuchaczowi wrażenie swobody i pewności. Wymaga to wielotygodniowej, szczegółowej pracy przygotowawczej. Oto, co się na nią składa:

Kierownicy audycji, w tym wypadku Leonard Cottrell wraz ze mną, planują rozległy, ogólny program. W tym roku tematem jest wielkie rodzinne zebranie radiowe. Wobec tego zdecydowaliśmy się wykorzystać ile się tylko da, technikę dwutorowej rozmowy, osiągałac w ten sposób naturalność audycji, tak żeby ludzie, znajdujący się w różnych krajach, mogli rzeczywiście rozmawiać ze sobą i wysłuchać o warunkach, w których żyją. Następnym zadaniem jest długie poszukiwanie udziałowców, speakerów i scenariuszy. Każdy występ musi być krótki i treściwy, napisany sumiennie i z myślą osiągnięcia maksimum efektu w jak najkrótszym czasie. W trakcie nadawania programu wszystko musi być żywe i bezpośrednie. Każdy jego punkt musi być opracowany naprzód i przeciwczony w miejscu nadania. W razie niepowodzenia należy przesłać do Londynu odpowiednie sprawozdanie.

BBC nigdy nie ukrywało faktu, że chociaż czyni się wszelkie wysiłki, by zaktualizować i nadać żywy charakter audycji, to z drugiej strony każdy fragment jest z góry nagrany na płytę, tak że na wypadek jakiejś katastrofy lub zawodu w transmisji, nie ma żadnej przerwy w programie. W tym roku połączenie radiowe z jednym lub z dwoma krajami, m. in. z Polską, nie jest jeszcze wystarczająco znormalizowane, żeby można polegać na transmisji wprost. Wobec czego Warszawa weźmie udział w tym programie przez płyty, uprzednio nagrane.

Program świąteczny, który stał się tradycją BBC od chwili wprowadzenia go w 1932 r., ma długotrwałą reputację szczęśliwych transmisji. Bardzo rzadko trzeba było użyć pomocniczych nagrań; jednakże jest zasada, że nie wolno niczego pozostawić losowi. Tak więc poprzez cały listopad i grudzień między Londynem i poszczególnymi punktami nadawczymi krzyżują się rozmowy telefoniczne i telegramy, póki wreszcie w ostatnich dniach przed Bożym Narodzeniem nie nadejdzie czas próby audycji. Wtedy kierownicy programu komunikują się z zamorskimi uczestnikami programu, słuchają poszczególnych numerów, udzielają rad, synchronizują program, i w miarę kończenia się każdej próby Londyn żegna Capetown lub Sydney, Oslo, Pragę, Hamburg lub Kanadę, dodając: „próba zadowolająca, czas i hasła uzgodnione, wszystko w porządku, O. K. Zyczmy powodzenia w czasie świąt, dziękujemy”.

Ten, który znajduje się w środku rozległej sieci ludzi dobrej woli, przeżywa chwile wznieście, a zarazem lekcję pokory — w miarę, jak kształtują się ogromne jej zarysy. Gdy Big Ben wybije godzinę drugą w dzień Bożego Narodzenia i program „At Home Again” nareszcie popłynie na falach eteru, wówczas wspomnimy ze szczerą wdzięcznością i podziwem setki inżynierów i reżyserów programu. Ich to energia, doświadczenie i poświęcenie sprawia, że zawiła mozaika programu wyda się nam prosta.



W wigilię Bożego Narodzenia małe dzieci angielskie idą wcześniej spać, aby przyspieszyć chwilę, kiedy budząc się w pierwszy dzień świąt znajdą przy łóżkach stosy podarunków. Każde z nich zna historię o dobrodliwym gwiazdkowym dziadziu, który — jak mówi legenda — przesłizguje się nocą ponad dachami uspiionych miast

pełnych nadziei dzieci pójdzie spać wcześniej w noc wigilijną, ażeby dziadzio gwiazdkowy mógł bez przeszkód spełnić swe coroczne zadanie.

Legenda o gwiazdkowym dziadziu ma swe źródło prawdopodobnie w podaniach o dobrym biskupie, św. Mikołaju — który żył 1.600 lat temu. Święta bowiem jego nie obchodzą



w saniach, zaprzęzonych w renifery i dźwiga na piecach worek z nieprzebraną i niewyczerpaną ilością podarunków. Nad każdym domem, gdzie w tę noc wigilijną śpi chociaż jedno dziecko, gwiazdkowy dziadzio wysiada ze swoich snów. Jakże jednak dostać się do dzieciennego pokoju — skoro wszystkie okna i drzwi zaryglowane są szczelnie w obawie przed złodziejami i nocnymi włóczkami? Pozostaje mu tylko jedna droga — niezakratowane kominy. Tędy więc zeslizguje się cichutko i przez wygäste palenisko kominka wkłada się do dziecięcej sypialni. Czekają tu na jego przyjście północzki dzieci, rozwieszane wieczorem w nogach łóżka — i dobry dziadzio wypełnia je podarunkami.

Trudno jest teraz w Anglii o zabawki — trudniej niż przed wojną — chociaż jest ich znów coraz więcej. Ale i w tym roku, jak zawsze, tysiące

dzieci angielskie, tak jak polskie 6 grudnia.

Wielu ludzi uważa, że historia o dobroczynnym gościu, który poprzez komin przybywa z radosnymi odwiedzinami, sięga korzeniami głębiej w zamierzchłą przeszłość. Opierają oni swe teorie na fakcie, że był czas, kiedy w W. Brytanii istniały domy, do których jedynym wejściem była dziura w pułapie, zastępująca drzwi. Tamteży wracał do domu ojciec — żywiciel rodziny. Chaty te były właściwie jamami, wykopanymi w ziemi, a mieszkańcy ich żyli conajmniej tyle lat przed Chrystusem, ile lat upłynęło od narodzenia Jego do dni dzisiejszych. Tak więc św. Mikołaj przedchrześcijański — był po prostu ojcem rodziny, który precyzyjnie się musiał przez dziurę w ziemi, by dostać się do swej jamy, gdy powracał obładowany z jakiejś myśliwskiej wyprawy.



Zabawa dzieci pod choinką. Dzieci rozrywają olbrzymi „cracker”, papierową rurę, w której schowane są podarunki.

O koledach



Boże Narodzenie jest i było zawsze w Anglii największą i najradośniejszą uroczystością. Jeszcze w średniowieczu książd francuski, pére Cyrien, zachwycał się zwiedzając Brytanię, entuzjazmem, z jakim obchodzono tutaj to święto. Pisał on: „Boże Narodzenie święci się tu wystawniej, niż w jakimkolwiek innym królestwie Europy”.

Uroczysty nastrój tego święta już od lat znajdował swój najgłębszy wyraz w koledach. Do dziś usłyszeć można w każdej wigilii wiele z tych starych pieśni, śpiewanych w blasku świec u drzwi kaplic gotyckich uniwersytetu w Cambridge. Nawet naloty drugiej wojny światowej nie zdołały zagłuszyć starych koled regionalnych jak „Lulajże, lulaj dziecinko malenka”, pieśń śpiewana w Coventry i wielu innych, które od niepamiętnych czasów stanowią część tradycji poszczególnych miast i okręgów. Znana jest piękna manifestacja ludności Coventry, która po strasznym nalocie 1940 r. zgromadziła się wśród ruin zombardowanych domów, aby odśpiewać swoją koledę i w ten sposób rzucić wyzwanie la-tającej śmierci.

Istnieją też i inne stare tradycje. W mroźne wieczory przedświąteczne dzieci chodzą od domu do domu, aby odśpiewać przed każdym progiem którąś z oddawna ulubionych koled jak „Good King Wenceslas”, „God rest ye merry Gentlemen”, lub „The Holly and the Ivy” (Dobry król Wa-

claw Bóg z wami, weseli panowie. Ostrokrzew i bluszcz).

W dawnych czasach dwory otwarte były w czasie Bożego Narodzenia dla wszystkich wieśniaków: dzierżawców. Największą izbę we dworze ubierano w dniu tym zieleńią i wielki Yale Pog — polano świeżego drzewa — ściągano ze śpiewem i muzyką wprost z lasu na wielkie palenisko, znajdujące się wówczas w środku pokoju. Zapalano też niezwykłej grubości świecę gwiazdkową, a potem w miłym ciepłe i przy miganym wesoło ogniu rozpoczynało się rodzinne święto. Wszyscy sięgali po jado i napoje, którymi zastawione były obficie wielkie stoły. Wreszcie zasiadano około płonącego polana, śpiewając koledę i pieśni pobożne, lub grając w gry towarzyskie.

W niektórych domach istniał zwyczaj wybierania Lorda Misrule (pana Nierządźkiego) czyli wesołego lorda. Wszyscy bez różnicy podlegali tego wieczora jego rozkazom, urządzając pod jego egidą figle i zabawy. Słuchać go musiał nawet sam właściciel dworu.

Wiele starych zwyczajów zachowało się w Anglii do tej pory. Domy stroi się po dziś dzień choinką, do dziś wita się życzliwie małych koledników, a ludność Anglii dotychczas spożywa w święto Bożego Narodzenia tradycyjny paszтет — o ile tylko może go zdobyć — i wymienia świąteczne podarunki.

PHILLIS BENTLEY

Przygotowania świąteczne



Kucharze mieszają składniki olbrzymiego puddingu.

Pierwsza śnieżna zawieja, gwizdząca za mymi oknami, przypomniła mi starego króla Wacława, wyglądającego oknem, gdy głęboki, puszysty śnieg pokrywał świat. Naturalna jego reakcja na ten widok wyrażała się w słowach: „Przynieście mi mięsa i wina. — Przynieście mi sosnowych szczap”.

Tego samego pragnie współczesna gospodyni angielska. Czołowe zagadnienia, to jedzenie i opał; na dalszym planie stoi sprawa podarków gwiazdkowych. Jedzenie jest w ogóle największą troską powojenną brytyjskiej pani domu. W mojej młodości byłoby szczytem złego wychowania, gdyby przy jedzeniu ktoś wspomniął choć słówkiem o potrawach. Dziś dyskutuje się na ten temat całkiem otwarcie. W chwili obecnej jednak zagadnienie to staje się szczególnie aktualne.

Z jednej strony Boże Narodzenie jest okresem gościnności, a nie ma gościnności bez jedzenia i picia; należy zatem zaoszczędzić jakoś trochę tego jada i napojów na gwiazdkę. Lecz jak tego dokonać? Zatrokana gospodyni po prostu nie widzi wyjścia.

Wiemy dobrze, że nie przymieramy z głodu i chętnie odejmiemy sobie od ust, by dać naprawdę potrzebującym. Lecz co za niekończąca się walka, nakarmić nasze rodziny i jednocześnie uważać, by jadłospis nie był monotony. Świadczą o tym słowa wstępne z konkursu przepisów jaryskich, które wyczytałam w jednej z

gazet londyńskich. „Gdy wyczerpał się zapas mięsa i nie pozostała już nawet chrząsteczka, co wówczas?” Istnieją ponadto domostwa, stawiające problem specjalny. Mamy np. samotną osobę, żyjącą z jednej karty, która może dostać na cały miesiąc albo marmoladę, albo dzem. Jest bowiem uprawniona do jednego tylko funta konserw na ten okres, a konserwy fabrykuje się w puszkach od jednego funta wzwyż (z powodu braku puszek). Co zrobi rodzina, która nie korzysta z kart dla ciężko pracujących, lub dla dzieci? Jadłospis tygodniowy przewiduje w takim wypadku tylko jeden obiad rybny, dwa razy boczek i małą pieczeń niezmierną. Pozostają dwa dni, które trzeba zapełnić z cennych kart punktowych, potrzebnych także na syrop, wyroby mączne i biszkopty. Pozostaje przydział tłuszczu, a brytyjski minister żywienia, Strachey, powiedział, że nie będzie mógł przydzielić dodatkowej racji świątecznej. Zimowo przydział mleka wynosi tygodniowo 1 litr na osobę. Rodzinki są na punkty i na ogół nie widzieliśmy ich od miesięcy. Mały skrawek sadza przypada na całą rodzinę mniej więcej raz na sześć tygodni, w kolejności alfabetycznej. Mąka jest na kartki chlebowe. Pomarańcze są dla dzieci. Jajka są na kartki, dorośli otrzymują około trzech do czterech jaj na miesiąc. Jajka w proszku są na punkty. W obliczu tych ograniczeń gospodyni zapytuje, jak zrobić, żeby święta wypadły dobrze, bez uprzedniego głodzenia rodziny. Co zrobić,

jeśli rodzina się zbuntuje? Jak na przykład wyczarować budyń świąteczny? Od czasu do czasu, choć rzadko, pojawi się w składzie budyń świąteczny, ale i to znowu kosztuje cenne punkty. W mojej rodzinie problem budyńowy znalazł niespodziewanie radosne rozwiązanie: krewni z Sydney przysłał nam budyń świąteczny. Ten kąk epizarni, w którym stoi budyń, promieniuje atmosferą gwiazdkil.

Opał także jest zagadnieniem raczej przykrym. W chwili obecnej mamy trochę węgla w piwnicy, otrzymałszy bowiem nasz przydział w listopadzie. Nie zobaczy mnie pani przed lutym — powiedział węglarz z wesołym uśmiechem. Luki zapełniamy koksem i „ovoidami”: mieszaniną pyłu węglowego i cementu, zbitą w kształcie jaj. Spodziewamy się, że w przyszłym tygodniu dostarczy nam nasz znajomy, były żołnierz a obecnie kupiec drzewny, trochę polan. Kanadyjczyk nie nazwałby ich polanami, bo mierzą one tylko około 30 cm długości i tyleż samo w przekroju.

Klejnoty rodzinne

Sprawa podarunków gwiazdkowych jest niezmiernie trudnym zagadnieniem. Wszystko bowiem, co wchodzi w zakres odzieży, to jest płaszcz, suknie, komplety, bluzki, spódniczki, buciki, pończochy, szaliki i rękawiczki, wszystko jest na odcinki. A tylko święci lub matki oddają swoje odcinki na cudze ubrania. Dlatego większe składy prowadzą dział podarunków, a popularność książki jako podarunku wzrosła znacznie. Na szczęście, mamy dostateczną ilość naprawdę pięknych kart świątecznych.

BRYGIDA MAXWELL

Zaczarowana arena

Słoń cyrkowy Mabel z pięciu kolegami wyruszył znowu w podróż, która jest nieodłączną częścią angielskiego okresu gwiazdkowego. Ponieważ północna zima nawet najbardziej zahartowanemu słońowi wydaje się nieco wilgotna, Mabel musi się odziać w ciepły płaszcz, by przeżyć 48 km do Londynu.

Ostatecznym celem podróży Mabel jest ogromny stadion Olympia, gdzie po raz pierwszy od roku 1938 wystąpi świątecznej sławy cyrk Bertrama Mills, ku radości setek tysięcy dzieci, nie mówiąc o dorosłych. Już pierwszego dnia przy okienku kasowym stał ogonek 2.000 osób. Po dwóch godzinach (koło południa 10.000 szczęśliwców było w posiadaniu biletów na przedstawienie, które w ciągu krótkiego, 6-cio tygodniowego sezonu, będzie oglądane przez 1/2 miliona osób. Cyfry te dają najlepsze pojęcie o tym, jak Londyn lubi występy cyrkowe. Tradycja ta sięga może starożytnego Rzymu, kiedy kwadrygi ścigały się pod groźnym okiem Nerona; brytyjski zwyczaj istnieje wszakże już przeszło 200 lat.

Bertram Mills założył swój cyrk 20 lat temu, podejmując tradycję rozpoczętą z końcem 18-go wieku przez pierwszego sławnego dyrektora cyrku, Filipa Astley. Po śmierci Mills'a, w r. 1939 cyrk objęli jego synowie, Bernard i Cyryl. Podczas drugiej wojny światowej cyrk był zamknięty, ponieważ uwolnione przez pociski lwy i słonie byłyby dodały do grozy nalożonych całkiem zbyteczne niebezpieczeństwa dżungli. W 48 godzin po wybuchu wojny oba pociągi cyrku, ze specjalnie do transportu zwierząt zbudowanymi wagonami, zostały przekazane rządowi brytyjskiemu. Wagon Mabel i jej towarzyszy nadawały się doskonale do przewozu ciężkich dział. Kwatery zimowe zwierząt zrobiono na obóz dla jeńców wojennych. Slonie przewieziono do Buckinghamshire, gdzie zarabiała na swą paszę (slonie przeważnie żywią się sianem), pracą dla państwa: holowaniem, burzeniem itp. Lwy i konie nie znalazły pracy wojennej, sześciu królów pustyni korzystało więc z gościny Zoo w Dublinie, a 50 najlepiej na świecie wytresowanych koni, rozdano po jednym lub dwa wśród chętnych na obszarze całej Anglii.

Międzynarodowa brać artystów cyrkowych rozjechała się w cztery stro-

Przyпускаjąc, że artyści powrócili już do życia cywilnego, a producenci skorzystali ze zwiększonego przydziału papieru. Jest znacznie więcej zabawek, niż w ostatnich latach. Kupiłam ostatnio zabawki, jakich nie było podczas wojny, a mianowicie: komplet do herbaty dla lalek z zielonego szkła, piękne czerwono-niebieskie taczki oraz uroczego brązowego konia z prawdziwej skóry. Wszystko pierwszorzędnie wykonane, dla chrześniaczki i wnuczka. Lecz zabawki te są bardzo kosztowne, podlegają bowiem podatkowi luksusowemu w wysokości 33 1/3%. Jeśli

zaś chodzi o ozdoby choinkowe, to stały się one po prostu klejnotami rodzinnymi. Jedna rodzina dziedziczy je po drugiej, względnie pożyczają je z okazji przyjęcia. Świeczki choinkowe sporządza się w ten sposób, że kroi się na pół świeczki normalnych rozmiarów.

Z punktu widzenia materialnego będzie to więc zapewne gwiazdka mało co mniej bezbarwna niż święta wojenne. Podczas tylu lat surowych ograniczeń nauczyliśmy się przecieć niedjednego i mam nadzieję, że potrafimy sobie jakoś dać radę, by mieć prawdziwie wesołe święta.



Pakowanie gwiazdkowych „crackers” w fabryce w Stepney

ny świata, z Braci Mills jeden wstąpił do RAF, drugi pracował w wywiadzie rządowym. Wróciwszy z wojska rok temu stanęli wobec beznadziejnego, zdawało się, zadania: cyrk ich został wszak rozproszony, niczym jesiennie liście. Braćja zdecydowali wszakże, że dzieciom londyńskim należy się przyjemność, odbywszy więc półroczne tournée po całej W. Brytanii, z początkiem maja br. zabrali się do pracy nad otwarciem cyrku w Londynie.

Śczęście zaczęło im sprzyjać: wszyscy poskramiacze zwierząt znaleźli się w Anglii: Gindle, który „kieruje” słoniami, Micolai, który „rządzi” lwami, rodzeństwo Holty, Tony i Peggy, którzy „szkołą” konie. Powoli zjechali się inni. Lwy przybyły z Irlandii, słonie wróciły do normalnych zajęć, konie także. Z Francji przyjechała drużyna trzech akrobatów: w czasie wojny dwóch służyło, dziwna rzecz, w piechocie. Trzeci miał odpowiedniejszą dla „napowietrznego artysty” służbę, niż wleczenie się po ziemi; wykonał 200 skoków spadochronem i wiele towarzyszy szkolił w tej sztuce — z tą różnicą, że chodziło o skakanie na teren nieprzyjaciela i bez zabezpieczenia ściecią cyrkową. Dwóch z tej drużyny posiada order „Croix de Guerre”.

Współpracownicy cyrku przyjechali z Grecji, Austrii, Włoch i Rosji. Przyjechali Amerykanie, Polacy, Jugosłowianie, Belgowie i Duńczycy i oczywiście cyrkowcy ze wszystkich stron W. Brytanii. Jest ich razem 250 osób — 63 występuje w 21 numerach, reszta pracuje za kulisami. Przewyciężono niezliczone przeszkody: paszporty, pozwolenia, trudności transportowe, z powodu których z trzech numerów musiano całkiem zrezygnować i zastąpić je innymi.

Innego rodzaju komplikacją stała się sprawa żywienia zwierząt: koszt siana potrzebnego dla jednego słonia wynosi 10 funtów na tydzień, lew zjada 90,7 kg. koniny tygodniowo (1 kg. koniny kosztuje 1 i pół szylinga). Szczęściem udało się za kontraktować dostawę koniny i siana tak, że lwy i słonie nie musiały ograniczać swych apetytów. Jedną one okrągły rok to samo, bez względu na to, czy występują, trenują się czy odpoczywają. (Jedynie lwy i konie mają wakacje, słonie się bez nich obywają i z góry patrzą na star-

szych towarzyszy). Konie byłyby klepały biedę, gdyby nie przezorność braci Mills. Zdając sobie od początku sprawę, że sprawa żywienia zwierząt będzie trudna, zaczęli stopniowo przyzwyczajając zwierzęta do ekonomicznych wymagań. Kiedy sytuacja się pogorszyła z powodu ograniczenia przydziałów, konie cyrkowe nie odczuły tego tak, jak wiele innych koni w W. Brytanii, które cierpiały na niedożywienie w okresie ograniczenia paszy.

Racjonowanie odzieży dało się we znaki także i w cyrku. Wprawdzie akrobata w krótkich różowych spodniach nie zużywa zapewne więcej jak pół metra materiału, ale nie zapomnijmy o Mabel, o której pisaliśmy na początku. Płaszcz, którego potrzebuje Mabel, musi ją przykryć od stóp do głów i od ucha do ogona. Płaszcz ten jest ręcznie skrojony i uszyty przez garderobianą, która ma pieczę nad wszystkimi kostiumami, z wyjątkiem strojów „gwiazd”; mają one swoje własne szaty.

Jedyną rzeczą, której zdobycie nie sprawiło kłopotu, był dębik garbarski — mielona kora dębowa, z której wytłacza się kwas, używany do garbowania skóry. Niezapomniany ostry zapach cyrku — to właśnie zapach tego kwasu.

Wreszcie przewyciężono wszystkie trudności. Tak artyści, jak zwierzęta wszyscy byli znakomicie wyszkoleni. Objazd cyrku po kraju stał się jednym ogromnym sukcesem — magiczna arena nie straciła nic ze swej przedwojennej magii. Ryk lwa nadal mrozi krew w żyłach, rozważne słonie wykazują dawną, niesłychaną zręczność, kłowni w szerokich spodniach i czerwonym nosem równie wesoło, jak zawsze, przewracają się i skaczą, a konie, na których o piera się cała tradycja angielskiego cyrku, są równie zgrabne i umiejętnie jak dawniej; w hodowli angielskiej konie cyrkowe znowu słuchają trenera na słowo, kosmate kuce szetlandzkie lekko wyskakują na parapet i biegną w koło po wąskiej desce. Siwki szóstkami wykonują ewolucje „haute école” pod kierunkiem smukłej blondynki. Kare konie, na których jeździ oklep nimfa, o równie kruczej jak maść koni czuprynie — wszystko to żyje nam w pamięci całej życia, niezależnie od tego, czy widzi się cyrk w 6-tym czy w 60-tym roku życia.



Pakowanie tradycyjnych „pończoch” gwiazdkowych.

Życzenia świąteczne Sean'a O'Casey

Szczęść Wam Boże Polacy. Słowo „Polska” — to dla nas więcej, o wiele więcej niż tylko nazwa. Dokonały tego nie ciężkie stulecia niewoli Polski, lecz jej wytrwałość, cierpienia i bohaterki opór — które poznaliśmy w ciągu ostatnich dziewięciu lat. Smutne to były lata, w czasie których zdawało się, że nie wżędzie już nad nią nigdy dogroczyzna, świąteczna gwiazda. Zbyt ponure było wtedy niebo nad Polską, zbyt straszliwe i nieprzeniknione otaczały ją ciemności, by przedrzeć się przez nie zdołał promień betleemski. Łuny płonącej Warszawy widzieliśmy ze wszystkich krańców ziemi. Straszliwy był to widok. We wszystkich zakątkach świata słyszeliśmy huk wazowej rozpadającej się w gruzy stolicy Piekielna to była muzyka. Muzyka poczęta w mózgach szaleńców. Dziś nie ma ich już między nami. Ale musimy być czujni nieustannie, by nigdy już podobny obłęd nie rozpełtał burzy w ludzkich sercach.

Wy, Polacy, macie dzisiaj przed sobą olbrzymie zadanie: odbudowanie waszej stolicy i przebudowanie waszego życia. Wzniesienie w ruin budowl lepszej niż poprzednia, budowl bezpiecznej i pewnej — wspartej na opoce trwałego pokoju. My, Brytyjczycy, wiemy niejedno o tym, co macie teraz do zrobienia. Nad naszymi głowami również pękały i waliły się z loskodem domy naszych wsi i miast. Widzieliśmy, jak płomienie pożerały to, co jeszcze wznosiło się wśród gruzów. Znamy wasze trudności, ponieważ dzielimy je z wami w całej pełni i ponieważ pracujemy — jak wy — nad odbudową normalnego życia. Dlatego dzisiaj, kiedy znów wschodzi nad nami gwiazda betleemska, wyciągamy do was przyjazną dłoń zrozumienia i zachęty. Szczęść wam Boże, Polacy. Oby nic nie zdołało was zniechęcić.

Przed tymi latami ruin i pożarów, dla większości z nas, robotników, Polska była tylko jakimś odległym miejscem na mapie, miejscem wielu pięknych walk o wolność człowieka. Wiedzieliśmy tyle, że dawniej, była w niewoli i, że tęskniła za wolnością. Teraz osiągnęła ją wreszcie. Wiemy, że wznosić może dzisiaj gmach swego kraju tak wysoko, jak zechce. Żadna zawierucha wojenna nie zniszczy tego, czego Polska dokona. Jedynie czas dobrotliwy wyciskać będzie na jej dziele piętno swych zmian, aby dzieło to stało się jeszcze większe i piękniejsze, jeśli tylko dość mocna i dość czujna okaże się nasza miłość pokoju i wolności. Tylko niewielu z nas słyszało kiedyś o Kościuszcze; niewielu z nas wie o Waszym poecie Mickiewiczu. Widzieliśmy obrazy, przedstawiające Polaków w strojach narodowych — lecz o życiu polskim, o waszych smutkach i radościach (oddanych w muzyce Szopena; lecz mało kto z pomiędzy nas, robotników, zna tę muzykę), o waszej pracy i o waszych przyjemnościach — o wszystkich tych rzeczach naprawdę ważnych wiedzieliśmy bardzo, bardzo niewiele.

Zbliżyły nas dopiero ostatnie lata walki na śmierć i życie — a wspólne cierpienia i straty zadzierzgnęły między nami węzły przyjaźni. Nie jest to tylko taka przyjaźń, która łączy kilka czołowych osobistości obu narodów. Jest to o wiele więcej. Większe masy ludzi zbliżyły się ostatnio między sobą. Robotnicy fizyczni i umysłowi zaczynają wszędzie stanowić duszą i ciałem jedną wielką epopię. Walczyli razem — umieją teraz razem żyć.

Wyżywienie nie jest takie, jakiego byśmy pragnęli, a ubrania nasze są nędzne; nie wstydzimy się ich jednakże, ponieważ wiemy, że będą cieplejsze i ładniejsze w przyszłości. Jomy nasze są skromne, jakże wiele z nich bez komfortu, ale zastąpią je z czasem te, które zbudujemy wspólnymi siłami — solidne, ładne, okolonie drzewami ogrodów. Ptaki śpiewać będą wśród galezi, a my podamy sobie ręce w twórczym, pokojowym wysiłku.

Pokój nie jest jeszcze dość mocno ugruntowany, lecz ustala się coraz bardziej. Niesprawiedliwość, krzywda i podejrzania ciągle jeszcze rozpierają się wygodnie tu i ówdzie w miękkich fotelach — zostaną jednak zrzucone ze swych tronów i staną się tułaczami bez domu, „nie mając gdzie głowy skłonić”. Albowiem zapisane jest w księdze ludu, że niesprawiedliwość, krzywda i wszelkie zło wytarte zostaną ze świadomości narodów, teraz kiedy lud zdobył głos, po-

tegę i przywileje, aby rządzić dla dobra wszystkich — we wsiach, w miastach — aby prowadzić ogół ku lepszej przyszłości.

Z wielu miejsc na ziemi dojrzeć już można gwiazdę betleemską. Wzeszła ona nad hełmami górników w głębokościach szybów kopalni. Wzeszła nad głową rolnika-oracza, urzędnika przy swoim biurku, lekarza u wezglowia chorego i pielęgniarki przy boku inwalidy. Wzeszła nad głową uczonego w laboratorium i żołnierza w koszarach i żeglarza na okręcie i matki, karmiącej niemowlę

KATHLEN COURLANDER — 1

„Old England's Merry Christmas”

Raz jedyny na przestrzeni wieków, odkąd pierwsze kościoły chrześcijańskie w dawnej Anglii zaczęły ozdabiać zielenią i ostrokrzewiem (miało to przypominać Drzewo Krzyża) — Anglia zaniechała radosnego obchodzenia Bożego Narodzenia. Było to pod rządami Ol'vera Cromwell'a. Gaszono wtedy radość świąteczną i wydano wojnę kruchym plackom i plum-porridge. Ale kiedy tylko wrócił na tron Karol II, odżyła znowu w całej pełni okazałość i radosna atmosfera Bożego Narodzenia.

W dawnych czasach angielscy monarchowie obchodzili uroczyste Boże Narodzenie i zachęcali lud, by szedł za ich przykładem. Tradycyjne powitanie „Wesołych świąt” nie było pustym frazesem. Po zachodzie słońca, w noc poprzedzającą wielkie święto, odkładano wszelką robotę, a domy i kościoły ozdabiano świerczyną. Tylko galezi jemioli nie dopuszczano do kościołów, ponieważ była to roślina nie poświęcona, zbyszczyszczona przez Druidów, którzy używali jej zwykle przy swoich tajemniczych obrzędach. Niemniej jednak ludzie przemierzali kraj milami, aby zdobyć jemiolę, ponieważ zawieszano ją w okresie Bożego Narodzenia w hallu i w kuchni. Nazywano ją „kissing bunch”, krzewem pocałunku. (Dlaczego? Objaśniamy to na innym miejscu w tym numerze).

W skromniejszych domach angielskich, w wilię Bożego Narodzenia, pości ludzie zabawiają się taką grą: Próbuja złapać w usta jabłko, lub orzechy, zwieszające się od belek sufitu, kiedy kiwają się, rozhuśtane na długich sznurkach. W królewskim pałacu i we dworze pęśniarze, znani w okresie Bożego Narodzenia jako „kolednicy”, przygotowują się, by powitać koledami nadchodzące święta. Słowa i melodie koled przekazywano z pokolenia na pokolenie. Kiedy przestali istnieć minstrelle, mieszczańscy i wieśniacy tworzył pośród siebie orkiestry, by kontynuować tę tradycję. I dzisiaj w noc wigilijną słyszy się koledników w niektórych miastach angielskich i wioskach.

Słowo „carol” (koleda) pochodzi od cantare — śpiewać i od rala — okrzyk radości. Najwcześniej znaną koledą w Anglii było „Gloria in Excelsis” i ta koleda wraz z innymi ukazała się w zbiorze, wydrukowanym w Anglii w 1521 roku przez Wynkyna de Wor-

Oby jaśniała w tym roku nad wami i nad wszystkimi tymi, którzy pracują dla Polski bez względu na ich przekonania. Okrzyk rozpacz: „Zabito syna!” zmienił się wreszcie w radosny śpiew: „Syn się urodził”.

My, Brytyjczycy, przesyłamy wszystkim kobietom, mężczyznom i dzieciom polskim nasze najlepsze życzenia. Szczęść Wam Boże, dzielni Polacy!

(W jednym z następnym numerów drukować będziemy artykuł o słynnym dramaturgu angielskim, Seanie O'Casey, autorze powyższego listu).

Wiele owoch sławnych koled śpiewa się i dziś w noc wigilijną, przy świecy, płonącej przed gotyckimi kaplicami Oxford i Cambridge. W początkach XVI w. koledy stały się bardziej artystyczne i melodyjne. Jednym z najlepszych autorów koled jest angielski poeta Herrick.

W średniowieczu, monarcha i każdy zamożniejszy szlachcic angielski wznaczał Lorda of Misrule (pana Nie-rządzącego), aby przewodniczył uroczystościom Bożego Narodzenia i przyjął na siebie obowiązki mistrza ceremonii. „Lords of Misrule” dobierali sobie straż przyboczną, złożoną z młodych ludzi i całe towarzystwo udekorowane wstążkami, szarfami i dzwonkami, jadąc na koniach na kij, prowadząc smoki i bijąc w bębny, urządziło maskarady i pantominy. Ulubionym tematem pantominy w czasie Bożego Narodzenia był św. Jerzy ze smokiem.

W rozprawie, napisanej kilkadziesiąt lat temu, pt. „About our Coal-Fire” (O naszym ognisku) autor opowiada, jak w dzień Bożego Narodzenia, o święcie, dziedzic gromadził w swoim domu najblższych sąsiadów i dzierżawców. Otwierano beczkę mocnego piwa, służba roznosiła wkolo grzanki, cukier, gałkę muszkatołową i stary angielski ser. Kiejbasa miała być gotowana o święcie, a jeśli nie była na czas gotowa, dwaj młodzi ludzie mieli obwieść kucharkę naokoło placu targowego, „aby się zawstydzila swego lenstwa”. Podczas świątecznych dni stoły były zastawione pole-dnicą wołową, pasztetami w cieście, plum-porridge, kapłonami, indykami i gęsna. Każdy był mile widziany i jadł całą duszą, z czego powstało przysłowie: „Wesoło jest w domu, kiedy wszyscy jedzą, aż się uszy trzęsą”.

Na kominku płonęła wielka kłoda drzewa „Yulelog” (słowo Yule, to sakska nazwa Bożego Narodzenia). Zapalano ją na popiołach, pozostawionych po spalonej w zeszłym roku kłodzie. Największą przyjemnością dla służby było utrzymywać możliwie jak najdłużej jasno płonący ogień — ponieważ istniał zwyczaj, że dopóki drzewo się pali, można w izbie czeladnej pić tyle piwa, ile dusza zapragnie. Wśród zieleni migotały duże świece, zrobione specjalnie na to wielkie święto. W niektórych częściach Anglii istniał przesąd, że gdyby światło świecy przestabo miętać,

Profesor W. Rosa,

Rzut oka na przyjaźń brytyjsko-polską

Ostatnie parę lat zupełnie zmieniły charakter i zakres stosunków, łączących narody Zjednoczonego Królestwa i polskich jego sprzymierzeńców. Jedną z niewielu dobrych rzeczy, które wynikały z sześciu ponurych lat wojny, były osobiste kontakty i przyjaźni tysięcy kobiet i mężczyzn odmiennej mowy i narodowości, którzy w zwykłych warunkach nie byłiby się nigdy spotkali. Jedną z wielu nieprzewidywanych

cech tej wojny było brytyjsko-polskie braterstwo broni w Anglii, i takie samo braterstwo w warunkach pracy oraz na „mnych odinkach wojennego życia.

Był to punkt zwrotny historii. Przerzucając jej karty, na darmo szukałoby się stosunków między Brytyjczkami a Polakami takich jak je mieliśmy ze swymi bliższymi sąsiadami w zachodniej Europie. Istniały wprawdzie kontakty, to rozmaitego rodzaju. Zdamy z nich sprawę w następnym artykule. Rzadkość ich jest jednak uderzająca. Zadaniem tego artykułu jest wykazanie pokrótce, dlaczego tak było.

Pierwszym powodem jest oczywiście fakt, że nie ma między obu krajami wspólnej granicy. Wręcz przeciwnie: niezależnie nawet od tego, że Anglia jest wyspą i że była stale czymś odrębnym od kontynentu — bardzo znaczna przestrzeń geograficzna dzieliła zawsze oba narody. To tłumaczy szczęśliwy fakt, że nigdy nie byliśmy ze sobą w stanie wojny (zresztą kto wie — może mogłoby to być przyniesić jakiś pożytek?), że nawet tarcia były niemożliwe — takie na przykład, jakie mieliśmy zawsze z Francuzami.

Drugim powodem owego braku styczności: Brytyjczycy byli zawsze narodem morskim, podczas gdy Polacy (z małymi wyjątkami) byli narodem, kochającym ziemię, i nawet w dzisiejszych czasach właściwie do tej ziemi przywiązany. Gdyby plany stworzenia floty, zrucono 300 lat temu przez króla Władysława IV, urzeczywistniły się, wszystko by inaczej wyglądało. Tak, jak się sprawa przedstawia, chociaż od pokoleń (jak to zobaczymy w innym artykule) istniały liczne stosunki handlowe między portami Zjednoczonego Królestwa a Gdańskiem, nawet one zmalały w ostatnich wiekach i zostały prawie zapomniane, aż wznowiono je po roku 1919.

Trzeci powód wypływa z dwóch poprzednich, ale podkreśla go jeszcze inny czynnik. Kulturalne, dynastyczne i polityczne więzy łączyły Anglików (i Szkotów) z narodami zachodnio-europejskimi, ponieważ wszystkie one były spadkobiercami tradycji łacińskiej - chrześcijańskiej, a bliskość Atlantyku sprawiła że rywalizowały ze sobą po przyjacelsku, lub też walcząc o handel na dalekich morzach, albo o kraje i bogactwa nowego świata. Polska również należała do tej samej łacińsko-chrześcijańskiej kultury, ale leży poza obszarem Niemiec, a język — jako słowiański — przedstawia trudność zupełnie inną, niż języki narodów romańskich lub germańskich. My wspieramy jesteśmy rzadko dobrymi lingwistami; a sam fakt, że język angielski jest amalgamatem elementów romańskich i germańskich sprawia, iż łatwiej jest innym narodom nauczyć się angielskiego, niż Anglikom i Szkotom uczyć się obcych języków. To zagadnienie łączy się z dziedziną kultury umysłu i ducha. I tu możemy znaleźć czwarta przyczynę, z powodu której więzy między obu krajami były tak wątle. Kiedy narody Zjednoczonego Królestwa zdecydowały się w 17 wieku zerwać z Kościołem rzymskim, Polacy zachowali się wprost przeciwnie i pozostali narodem w obrzynie większości rzymsko-katolickim.

Jest też piąta przyczyna tego zupełnego braku trwałych więzów między oboma narodami — i można powiedzieć, że ze wszystkich tutaj wymienionych jest najważniejszą. Od czasów, kiedy zaczęto podróżować na sposób nowoczesny, kiedy wprowadzono maszynę parową, na długo zanim koleje zupełnie zmieniły życie współczesne, umożliwiając wielu ludziom ogromną ruchliwość, Polski aż do 1919 r. nie było na mapie Europy. Podczas tych stu przeszło lat, niewielu tylko Polaków mieszkało w Anglii, ale nie mogli wrócić z powrotem do kraju; Brytyjczycy zaś nie byli pożądanymi na ziemiach polskich i każde zainteresowanie się jej losem było źle widziane przez panujące w Polsce rządy. Wystarczy ten jeden fakt, by wytłumaczyć wiele rzeczy. Zmiany, jakie nastąpiły w latach 1919—1939, kiedy tysiące Polaków odwiedzało Anglię dla przyjemności, studiów czy interesów i kiedy setki Anglików przyjeżdżało do Polski — wykazały, jak nienaturalnym był poprzedni stan rzeczy.

Wszystcy żałujemy straconego od pokoleń czasu; obecnie jednak jest już inaczej i mamy nadzieję, że stosunki angielsko-polskie rozwijają się będą coraz lepiej. To, co było zaledwie wlotkami niemi łączyącymi nas stosunków, stało się z początkiem roku 1939 silnym i trwałym węzłem wspólnej służby dla wspólnego celu.



Boże Narodzenie jest w Anglii największą uroczystością całego roku. Dla Anglików jest okresem, w którym panuje duch koleżeństwa i dobrej woli, jest chwilą, kiedy każdy w miarę możliwości stara się być w gronie rodziny. Boże Narodzenie jest przede wszystkim świętem dziecka. Dzieci są ośrodkiem uroczystości, w której biorą udział starsi. Angielskie swy czaje złączone z Bożym Narodzeniem są odwieczne, a początek niektórych ginte w mrokach stuleci. Jednym z najstarszych zwyczajów jest wieszanie jemioli, starej rośliny skandynawskiej, pod którą spotykali się wrogowie, żeby się pogodzić i zapomnieć urazy. Obraz przedstawia chwilę przybycia gości do wlejskiego dworu, w XVII wieku.

JOHN SNOWDEN

Piękno dla narodu

O ochronie przyrody i zabytków historycznych



Polesden Lacey, Mrs. Ronald Greville zapisała Narodowemu Towarzystwu majątek Polesden Lacey wraz z około tysiącem akrów ziemi, obrazami, umeblowaniem itd. Posiadłość ta leży na północ od Rammore Common w Surrey, w pięknej, zaleszonej okolicy. Kiedyś należała do Sherfdana. Para królewska spędzała tam część swoich młodych miesięcy.

Spotkali się przed pięćdziesięciu laty trzej ludzie przejęci umiłowaniami budowl historycznych. Spotkali się, aby wynaleźć sposoby zachowania po wszelkie czasy dla narodu posiadłości i miejsc przezeń ukochanych.

Organizacja, która powstała z tej idei, pod nazwą „Narodowe Towarzystwo Ochrony Miejsc Historycznych i Piękna Natury”, obchodzi w tym roku jubileusz. Ma ona pod swoją opieką blisko 900 posiadłości, rozsianych po całej Anglii, Walii i Północnej Irlandii, przeszło 115.000 akrów pięknych okolic i dalszych 40.000 akrów ziemi „zakontraktowanej” — ziemi, która jakkolwiek jest własnością prywatną, stanowi rezerwy, pozostające pod opieką właścicieli.

Historia Towarzystwa od samego początku wykazuje dzielność, energię i szerokie zainteresowania jego twórców. Memorandum, które było kamieniem węgielnym Towarzystwa, jest kopią statutu Zjednoczenia Stowarzyszeń Rezerwatów Publicznych w Massachusetts. Pierwszą posiadłością, pozyskaną dla narodu, jest cztero i pół akrowy, piękny, skalisty zakątek nad zatoką Cardigan, подарowany Towarzystwu w 1895.

Rozwijając swą działalność, Towarzystwo zjednywało sobie coraz szersze uznanie ogółu, a w r. 1907 zostało zreorganizowane aktem Towarzystwa Ochrony Przyrody.

Na wybitnej roli, jaką odgrywa Towarzystwo w zabezpieczeniu dla na-

rodu tradycyjnego piękna Anglii, poznano się po ostatnim oświadczeniu ministra skarbu, p. Daltona, kiedy przedstawił on parlamentowi swój budżet. Poddał on myśl odłożenia na ten cel 50 milionów z Narodowego Funduszu Ziemi. Skarb winien być przygotowany na przyjmowanie ziemi w miejsce podatków spadkowych, a mógłby zrównoważyć swój bilans równowartością pieniężną ziemi nabywanej. Ziemię należało by przekazać w administrację Towarzystwom w rodzaju Towarzystwa Narodowego.

Uważam, oświadczył p. Dalton — że ta praca ma wielkie znaczenie dla narodu — i dodał, że z okazji jubileuszu proponuje przyznanie Towarzystwu za pomoci rządowej.

Oczywiście — można wątpić, czy założyciele Towarzystwa zdawali sobie sprawę, że w jego powiernictwie będą wielkie dobra, obejmujące wieś i lasy, budynki historyczne, ich urządzenie, zbiory przedmiotów sztuki i ogrody. Nie uwidaczniały się też wtedy zapewne problemy sztucznego utrzymywania wegetacji w takim stanie, by zachowa-



Avebury, nabytek Towarzystwa Narodowego. Muzeum, niegdyś w osiemnastym wieku stał dworski.



Strony rodzinne Szekspira: Piękny fragment wioski Avon, w tyle młyn w Charlecote. Tradycja łączy Charlecote Park z awanturą podczas polowania na dziki. Podobno był w nią wmieszany Szekspir.

ła wygląd dzikiego piękna i jak najwłaściwsze warunki dla różnych form dzikiego życia, widocznych na pierwszy rzut oka.

W naturalnym rozwoju rzeczy musiano założyć muzea archeologiczne i zabezpieczyć ogrody, dywany, obrazy, meble i inne urządzenia, charakteryzujące życie narodu na przestrzeni wieków.

Na Komitecie Wykonawczym Towarzystwa, w skład którego wchodzi wielu rzeczoznawców, a między innymi największy z żyjących historyków Dr G. M. Trevelyan, rektor Trinity College — spoczywa odpowiedzialność za oszacowanie obiektów, ofiarowanych do nabycia.

Równie trudna jest ocena wartości piękna natury. Jak dalece np. decyzje Rady mają się opierać na fakcie, że kilku ludzi odwiedzi czasem jakiś odległy, lecz piękny zakątek? Czy należy wziąć go w opiekę? Od członków Komitetu wymaga się wypróbowanych wysokich kwalifikacji i mądrego osądu.

Ostatnim, szczególnie cennym nabytkiem jest Charlecote Park, zabytkowy obiekt, od dwunastego wieku własność rodziny Fairfax-Lucy w Stratford nad Avon. Tam podobno Sir Thomas Lucy złapał Szekspira na kłusownictwie, tam również odpoczywała królowa Elżbieta, jadąca do Kennilworth na spotkanie swego ulubieńca Roberta lorda Leicester.

Lista posiadłości Towarzystwa jest barwnym katalogiem architektonicznej historii Anglii, począwszy od epoki neolitu, W Avebury w hrabstwie Wilt,

nym przez Dickensa w „Klubie Pickwicka”, są sale zebrań w Bath. Często też mówi o nich Jane Austen. Tam we wspianej sali balowej, w sali koncertowej, w pokojach gry i przyjęć, królowali Beau Brummel i Nash, dwie wielkie figury osiemnastego wieku.

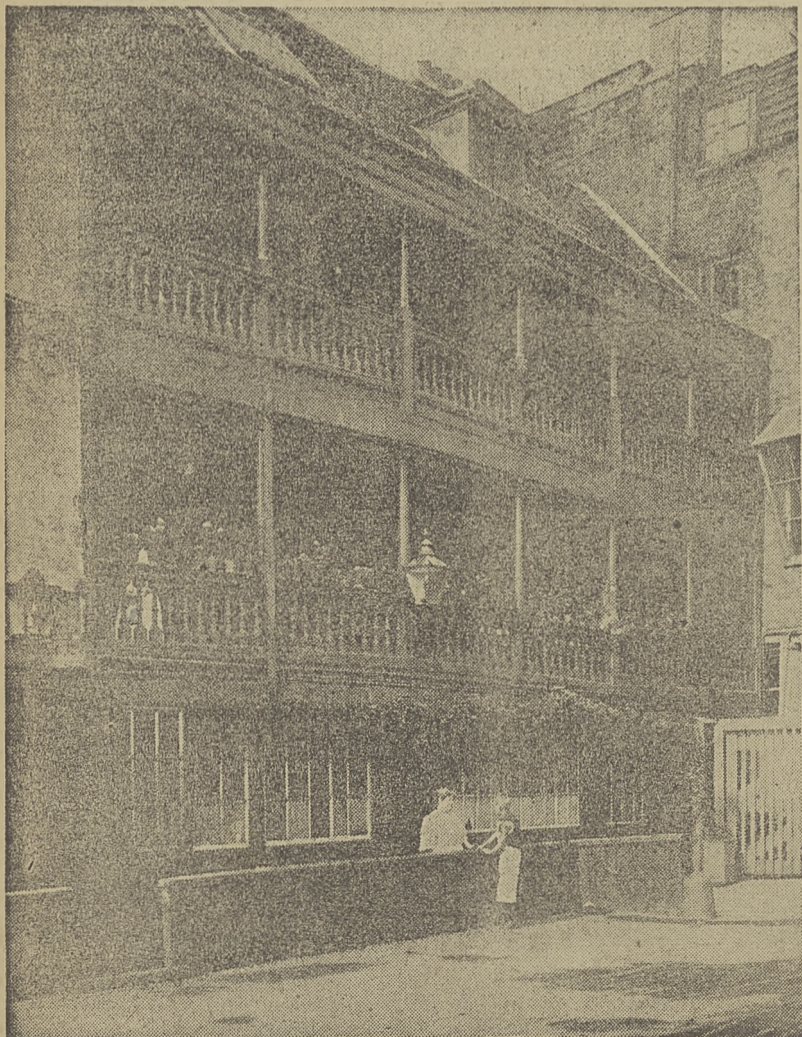
Najcenniejszym nabytkiem ziemskim jest Kraina Jezior (The Lake District). Chroni się tam dla narodu przeszło 35.000 akrów pięknych okolic, obejmujących ziemie hrabstw: Cumberland, Westmoreland i Lancashire. W Cockermouth w Cumberlandzie jest dom o wielu oknach, w którym urodził się w 1770 r. poeta William Wordsworth. Posiadłość tę nabyło Towarzystwo tuż przed drugą wojną światową. Odwołano się przy tym do datków publicznych.

Ayot St Lawrence w Hertfordshire siedzibę G. B. Shawa, podarował słynny autor Towarzystwu, z zastrzeżeniem dla siebie dożywocia. W ogrodzie tej posiadłości znajduje się letni domek, w którym Shaw napisał w ostatnich latach przeważną ilość swoich dzieł. Po śmierci Shawa zakątek ten wraz z częścią zawartości i książkami pozostanie pamiątką literacką.

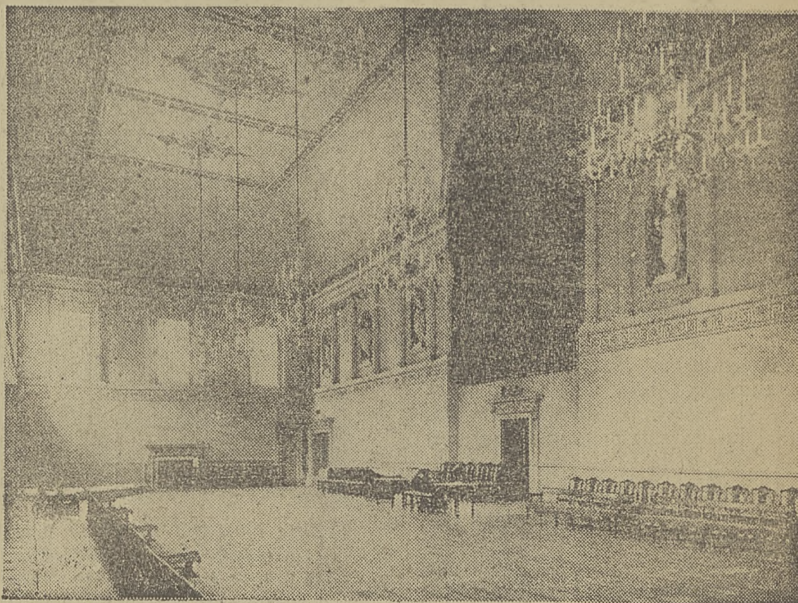
Najbogatsze dziedzictwo Towarzystwa, majątek Polesden Lacey w Surrey, подарowany w r. 1942 przez Mrs. Ronald Greville, zawiera skarby sztuki ogromnej wartości. Między innymi obraz Reburna, oszacowany na 12 tysięcy funtów i dzieła Reynolds'a i Lawrence'a.

Majątek ten, zawierający słynną kolekcję tkanin, mebli i wyrobów artystycznych, przedstawia wartość kilkuset tysięcy funtów.

Wszystkie te majątki i domy są rozdziałami dłuższej i barwnej historii Anglii. Towarzystwo Ochrony Przyrody roztacza opiekę nad tym narodowym dziedzictwem piękna, zachowując je dla Anglii — i dla świata.



Londyn, Gospoda George przy ul. Southwark,



Sale zebrań w Bath, Sala balowa.

ERNEST THOMSON

Gwiazdkowe święto telewizji

Tegoroczne Boże Narodzenie będzie istną „gwiazdką telewizyjną” dla 200.000 Londyńczyków i mieszkańców okolic stolicy. Ci szczęśliwcy zobaczą programy radiowe i będą mogli pochwycić u siebie świąteczne widowiska cyrkowe oraz pantominy.

Każdy aparat telewizyjny — jest ich, jak sądzą, około 20.000 — czynny będzie bez przerwy, i koło każdego, z nich zgromadzi się co najmniej 10 osób.

Zdając sobie z tego sprawę, kierownictwo telewizyjnej stacji BBC „Alexandra Palace” w północnej części Londynu, planuje 10-cio dniowy okres nadawania specjalnych programów w czasie świąt Bożego Narodzenia, który mógłby usprawiedliwić ich dumne twierdzenie, że „telewizja jest najdoskonalszą formą transmisji radiowej”. Niejednym z gości domu, w którym jest aparat telewizyjny, widząc po raz pierwszy ten cudowny wynalazek, będzie mógł osądzić go z najlepszej strony, ponieważ wielką część programu świątecznego składać się będzie z „aktualności”, transmitowanych dzięki przenośnym aparatom nadawczym z londyńskich teatrów, z cyrków i z innych interesujących miejsc.

W czasie wili powtórzy się jeden z najbardziej udanych programów przedwojennych telewizji, a mianowicie odwiedzin szpitala londyńskiego, tym razem Szpitala dla Dzieci w Hackney, imienia Królowej Elżbiety. Telewizyjny aparat nadawczy będzie przesuwany się zupełnie bezszelstnie po jednej z głównych sal, w czasie wieczoru wigilijnego. Widzowie będą wraz ze św. Mikołajem, rozdającym prezenty świąteczne, przechodzić od łóżka do łóżka. Potem każdy śledzić będzie z zainteresowaniem popisy kuglarskie oraz przyjęcie, na którym będą obecne dobrze znane gwiazdy filmowe i teatralne.

Wiele punktów programu przewidziano specjalnie dla dzieci i to nie tylko dlatego, że Gwiazdka jest przede wszystkim ich świętem. W okresie szkolnym młodzież ma mniej sposobności przyglądania się programom telewizyjnym niż jej rodzice. Normalny program popołudniowy kończy się, zanim dzieci wrócą ze szkoły, a wieczorem większość z nich leży już w łóżkach, kiedy o 8.30 zaczyna się transmisja.

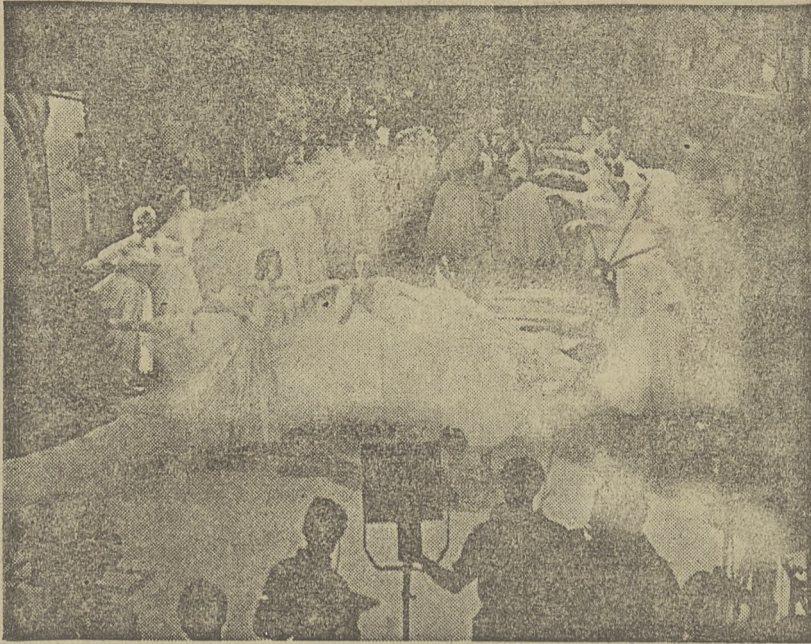
Dlatego rozpoczęto już próby ulubionych przez dzieci sztuk, jak „Ala w krainie czarów” i „Toad of Toad Hall” („Zabi dwóch”). Przedstawienie „Ala w krainie czarów”, które otworzy festiwal telewizyjny w sobotę przed Bożym Narodzeniem, będzie grane w studio i wymagać będzie wiele pomysłowości technicznej, specjalnie w chwili, kiedy Ala polknąwszy czarodziejski napój rośnie powoli aż do rozmiarów olbrzymki. Tę sztukę wykonano przed wojną używając bliźniaczych kamer, przy czym coraz bardziej odsuwano jedną a zbliżano drugą.

W niedzielę, 22 grudnia, marionetki i prawdziwi aktorzy wezmą udział w zabawnym przedstawieniu „Operation Stocking” („Pończocha działa”). Tego rodzaju program może być transmitowany tylko przez telewizję. Mały ekran o wymiarach, wahających się między 30,4 cm x 25,4 cm a 25,4 cm x 20,3 cm (zależnie od różnych odbiorników), jest doskonałą sceną dla przedstawień marionetek. Po raz pierwszy jednak zostaną jednocześnie wprowadzeni żywi aktorzy.

Pantomina „Kopciuszek” będzie prawdopodobnie nadana z jednego ze starszych londyńskich music-hallów, w poniedziałek, w tygodniu świątecznym. Na 24 godzin przed nadawaniem widowiska zainstaluje się w teatrze aparaty nadawcze. Zespół techniczny zamieni niepostrzeżenie teatr w studio, nie naruszając wygody publiczności teatralnej.

Komplet 2 lub 3 aparatów nadawczych, umieszczonych w pierwszych rzędach, da całkowity widok sceny z rozmaitych punktów tak, że widzowie w domu będą widzieć, jak kurtyna wznosi się do góry i opada. Zobaczą orkiestrę i przy pomocy specjalnej soczewki osiągną efekt lornetki teatralnej.

Telewizja jest bardziej bezpośrednia niż zwykła audycja radiowa i ostatnio zaznacza się tendencja zachęcania odbiorcy do brania udziału w programach za pomocą ankiet i koncertów popularnych. Boże Narodzenie jest idealną okazją wzmocnienia tej współpracy. 23 grudnia ma się odbyć audycja z koledzami. Przed jednym z aparatów zostanie ustawiony ekran, na którym ukazać się nuty i tekst, które dyrygent będzie wskazywał pałeczką podczas śpiewu chóru. W ten sposób widzowie w domu będą na przemian to chór, to nuty



Teatr baletowy „Les Sylphides”. Widok ogólny baletu, transmitowanego przez aparat telewizyjny.

z tekstem. Kiedy wypróbowano ten eksperyment w zeszłym miesiącu, publiczność uważała go za najlepszy ze wszystkich programów.

Oprócz wizyty w szpitalu w dniu

Bożego Narodzenia, zostanie nadane doroczne przemówienie króla Jerzego VI. Ilość posiadaczy aparatów telewizyjnych jest tak mała, w porównaniu do wielkiej liczby zamor-

skich słuchaczy radiowych, że wykonanie transmisji telewizyjnej z królem nie ma narazie uzasadnienia. Podczas, kiedy król będzie przemawiał, na ekranie telewizyjnym ukazuje się jego portret, zrobiony w czasie jednego z poprzednich przemówień radiowych.

Transmisja wigilijna wprowadzi nową atrakcję — balet i pantominę osnutą na tle nieśmiertelnej Dickensowskiej „Opowieści wigilijnej”. Ukazuje nam się skąpiec Scrooge i zobaczymy na zakończenie bal u pani Fezziwig w opracowaniu muzycznym.

Szczytowym punktem programu bezpośrednio po świątach Bożego Narodzenia, będą czterokrotne odwiedzin w cyrku Bertram Mill, w Olimpii londyńskiej. Technikom, obsługującym ruchome aparaty nadawcze, nie obca jest praca w cyrku. Już przed ostatnią wojną uporali się doskonale z tym zagadnieniem. Techniczne trudności są tu o wiele większe, niż przy telewizyjnym nadawaniu sztuki wprost z teatru. Obiektywy, mikrofony i światła dodatkowe trzeba umieścić w ten sposób, aby nie przeszkadzały akrobatom i zwierzętom. Naokoło areny ustawia się w odpowiednich miejscach cały szereg obiektywów, podczas gdy kierownik audycji telewizyjnej, znajdujący się poza cyrkiem, będzie wybierał odpowiednie sceny, ukazujące się na ekranach kontrolnych. Musi się zdecydować szybko, żeby nadążyć e-

wolucjom na trapezie i sztukom woltizerów. Chodzi bowiem o wybranie odpowiedniego momentu, aby zmienić nastawienie soczewek i uzyskać zbliżenie danej osoby.

Poza tym na program świąteczny składają się audycje telewizyjne baletów dziecięcych i sztuk teatralnych, jak Noel Cowarda „Hay Fever” („Gorączka senna”) i Barriésa „Peter Pan” (Czarny Piotruś). Zaden z punktów programu nie wywoła wśród widzów takiego oddźwięku, jak przedstawienie „Veterans of Variety” (Weterani z Variety). Wystąpią w nim ponownie ulubieńcy music-hallów sprzed 20 i 30 laty i to na specjalnie skonstruowanej scenie w studio Alexandra Palace. Odtworzy się atmosferę dawnych music-hallów; w obecności zaproszonych gości dyrektor teatru, z baczkami i artystycznie zawiązanym krawatem, zapowie każdy numer uderzeniem młotka. Kurtyna podniesie się i opadnie, a członkowie orkiestry z brodami i w kostiumach z roku 1890 ukąszą się w polu widzenia obiektywów.

Spodziewany jest udział wielu dziesiętnych gwiazd na przyjęciu dla weteranów, które zostanie wydane po przedstawieniu.

Na zakończenie programu gwiazdkowego nada się audycję z bału w noc Sylwestrową z jednego z wielkich lokalów dancinowych Westminsteru. (Zdjęcia na stronie 8, 9)

Dzieci w muzeum

Lata drugiej wojny światowej dały personelowi pewnego małego muzeum londyńskiego sposobność, by dać wyraz przekonaniu o ważności rozrywek dziecka. Dały mu one również doświadczenia w organowaniu różnorodnej działalności informacyjnej dla dzieci. W okresie bombardowań lotniczych w czasie II wojny światowej ewakuacja spowodowała zamknięcie szkół, co z kolei pozostawiło własnemu losowi wiele dzieci, które nie opuściły Londynu. Gromadziły się one na terenie tych instytucji publicznych, które pozostały otwarte. Jedną z nich było Geffrye Muzeum.

Muzeum to mieści się w czarującym budynku z XVIII wieku, otoczonym drzewami i stanowiącym prawdziwą oazę w brudnej, gęsto zaludnionej dzielnicy Londynu. W szeregu sal, reprezentujących poszczególne okresy dziejowe, wystawione są stale ekspozycje, ilustrujące historię społeczną Anglii — od czasów elżbietańskich aż po dzień dzisiejszy. Każda z sal zawiera oryginalne meble, zbroje i kostiumy, oraz model budynku z danego okresu. Oprócz tego są też dwie galerie, zawierające bogate zbioru starych wyrobów z drzewa i żelaza, pokój, przystosowany specjalnie do użytku dzieci, oraz czytelnia, gdzie odbywają się od czasu do czasu wystawy z dziedziny historii lub życia współczesnego.

W ciągu roku szkolnego grupy uc-

niów z nauczycielami odwiedzają muzeum, gdzie odbywają się dyskusje i pogadanki. Wyświetla się także filmy i przezroczka, ilustrujące najróżniejsze dziedziny historii społecznej, sztuki i rysunku. Dzieci przychodzą też w czasie wolnym od zajęć. Co sobotę bywa ich przeciętnie około stu, w czasie wakacji zaś frekwencja dzienna dochodzi czasem do przeszło 300 zwiedzających.

Są to dzieci w rozmaitym wieku i rozmaitego typu. Niektóre przychodzą dla gruntownego zwiedzania, inne wpadają tylko na pół godzinki. Najważniejsze jest to, że przychodzą często i dobrowolnie. Stopniowo stało się oczywiste, że leżą w tym doniosłe możliwości oświatowe, o głębszym niż lokalne znaczeniu i, że trzeba przedsięwziąć kroki, by wyposażyć muzeum dla dzieci według zasad pedagogicznych. Stałe ekspozycje muzeum, jak również okresowe wystawy wypożyczonych chwilowo obiektów, tworzą podstawę dla wielkiej różnorodności zajęć. Każde dziecko decyduje dobrowolnie, co najbardziej chciałoby robić. Grupy malujących, szkicujących ekspozycje, lub wycinających ilustracje do swych albumów, poświęconych poszczególnym przedmiotom — to typowy obrazek świątecznego dnia w muzeum. Kilko dzieci ogląda zwykle galerię, inne lepią z gliny, robią wycinanki, przedstawiające figurki w stylowych ko-



Dwie dziewczynki — dwunasto i trzynastoletnia — zajęte szkicowaniem ekspozycji z epoki elżbietańskiej.

stiumach, lub szyją szmaciane lalki z barwnych galanków. Starsze z nich dyskutują z zapalem nad wyrazami krzyżówek, które próbują odgadnąć. Rozwiązanie odnaleźć można wśród wystawionych ekspozycji. In-

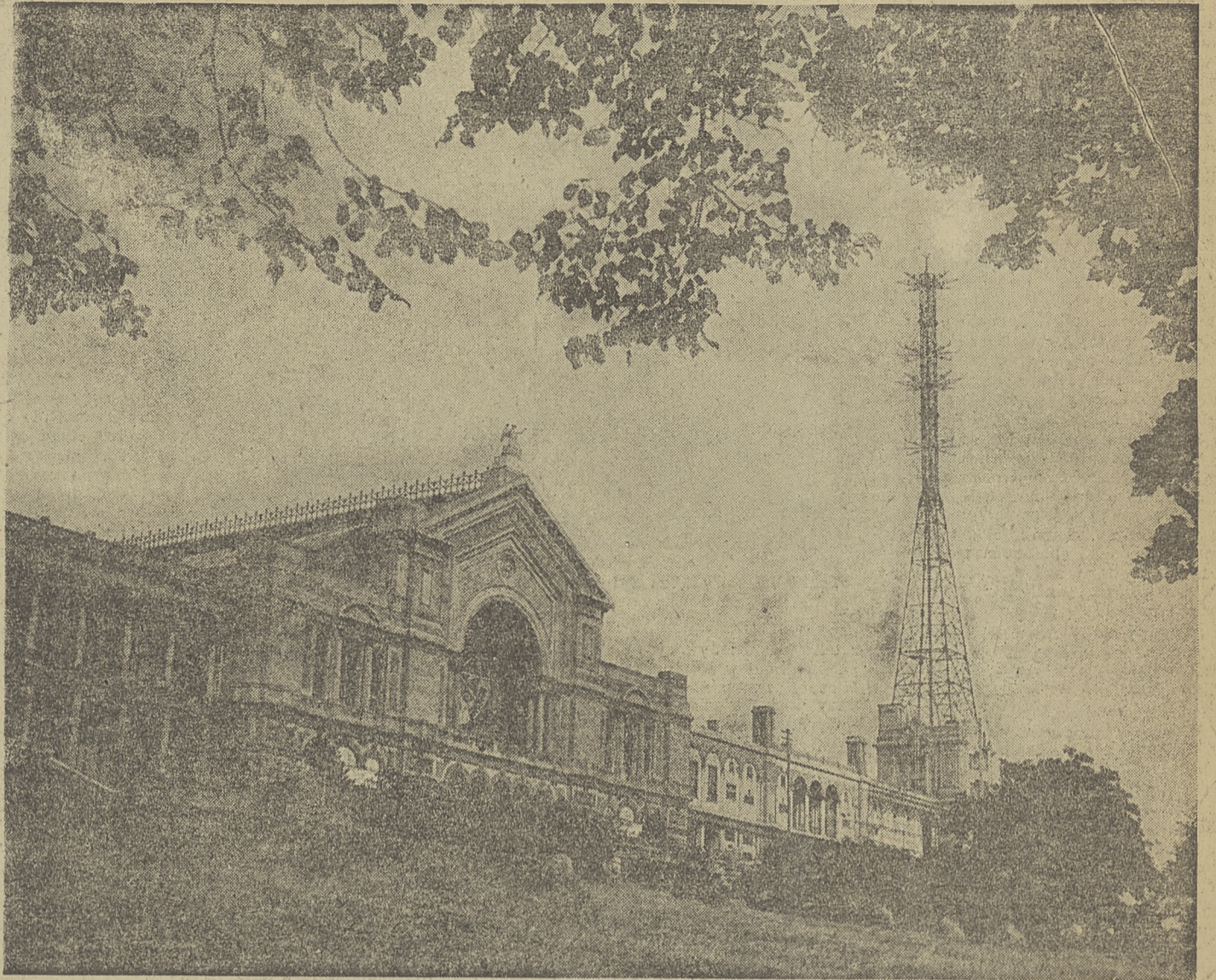
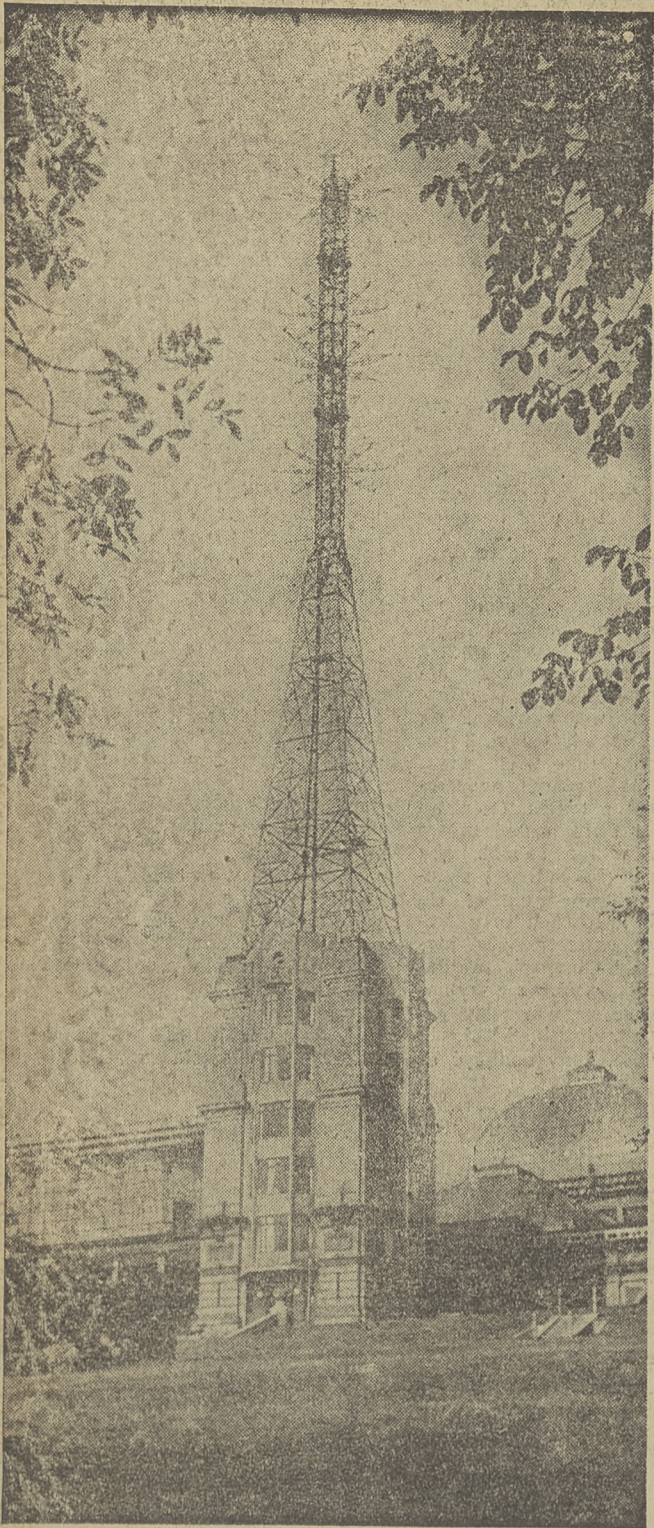
ne bawią się w zagadki, dotyczące ekspozycji, lub układają w porządku historycznymi małe klocki drewniane, z obrazkami, ilustrującymi różne dziedziny życia społecznego. Zajęcia te — i wiele innych — pobudzają do myślenia, obserwowania i zachęcają do chodzenia po terenie muzeum. Dzieci przyswajają sobie bez nauki historyczne fakty i chronologię. Wyrabia się w nich zarazem wycucie stylów i rysunku. Takimże ręcznie stoją do dyspozycji dzieci, które miałyby ochotę ich używać, w pewnych zaś okresach wielką popularnością cieszy się teatr marionetek. Jednego lata grupa dzieci, która własnoręcznie wykonała kukielki, urządziła dla stu innych przedstawienie własnego pomysłu. Sztuka ta nie była napisana i temat jej ulegał przy każdym wystawieniu znacznym zmianom, przy czym uderzające były zdolności improwizacyjne wykonawców.

Ciekawie rozwinęła się sprawa muzeum w okresie ewakuacji, gdy rodzice nie pozwalali wielu dzieciom oddalać się od domu. Wiele z nich chciało pracować u siebie. Uznano to za godną uwagę i chociaż niewiele przedmiotów, stanowiących wyposażenie budynku, można było wypożyczyć, szereg zajęć, jak tkanie na prowizorycznych, tekturowych warsztatach, modelowanie, rozwiązywanie krzyżówek i łam główek obrazkowych różnorakiego rodzaju — udało się zorganizować w domach prywatnych. Można mieć nadzieję, że te początki staną się zachętą do rozsądnego wykorzystania godzin wolnych od pracy w późniejszych latach!



Jedna z kierowniczek muzeum kieruje ruchami dwójga dzieci, zapoznających się z mechanizmem ręcznej tkalni. Stara „Gospoda Przemysłowców” w Sussex.

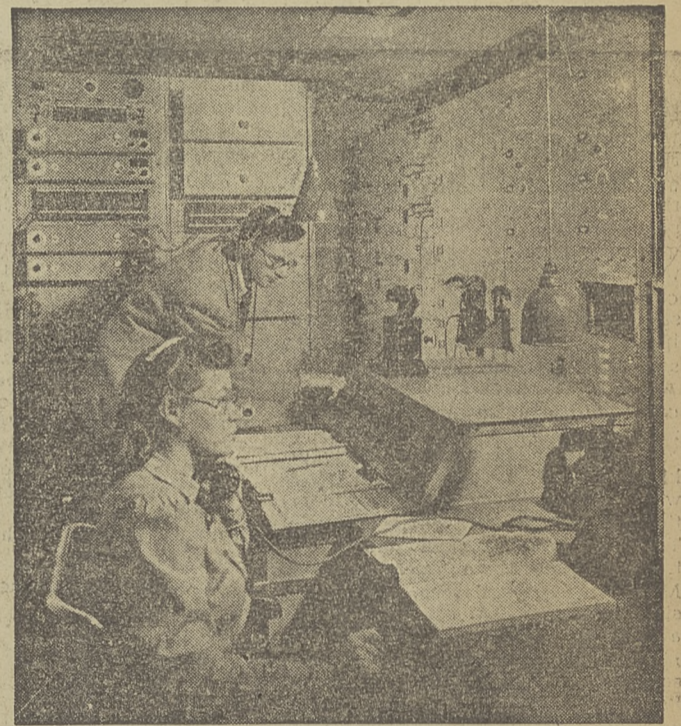
TELEWIZJA



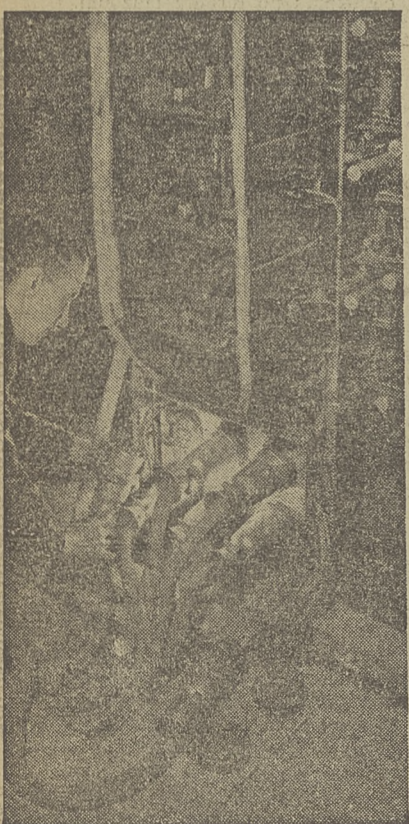
U dołu: W miarę, jak rozszerza się zakres programów BBC, wzrasta praca nad zaspokojeniem popytu na nowe aparaty telewizyjne. Składanie aparatów w warsztacie fabryki (Welwyn Garden City, Herfordshire).

U góry na lewo: Alexandra Palace w północnej dzielnicy Londynu. Maszt telewizyjny.

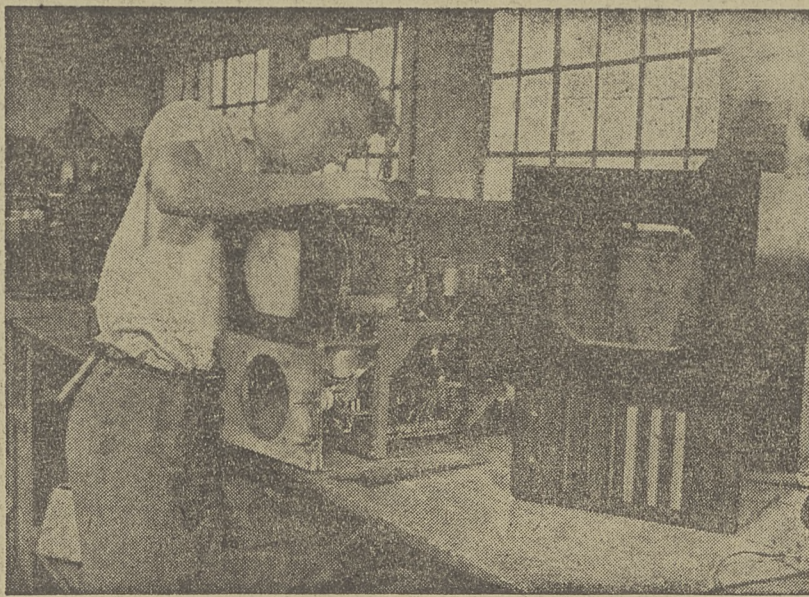
Alexandra Palace, w którym mieści się stacja nadawcza telewizji.



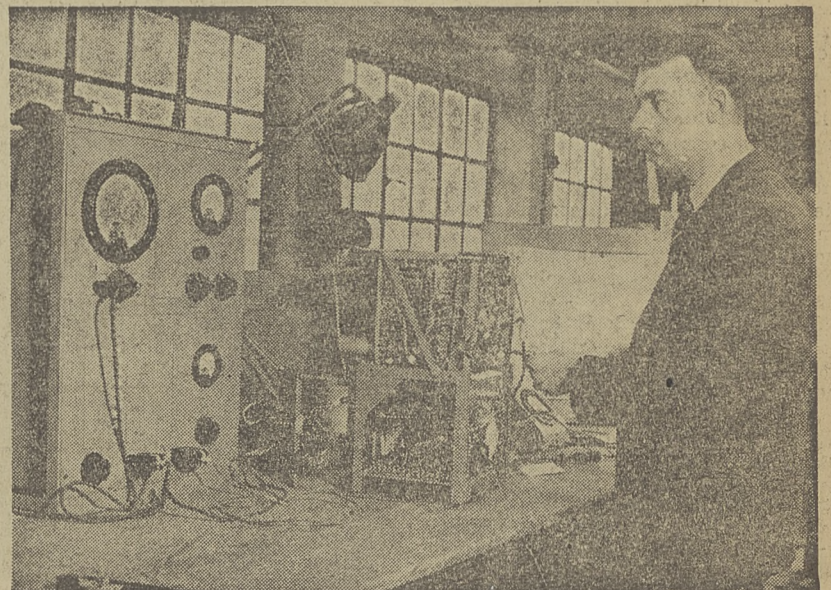
Główna kabina kontrolna telewizyjnej stacji nadawczej Alexandra Palace. Elementy z obu studiów: filmowego i słuchowiskowego łączy się tutaj we wspólny program. Na fotografii: tablice rozdzielcze, amplifikatory dźwięku i główne generatory.



Kabina kontrolna. Ogromne kable i wielokontaktowe wtyczki łączą aparaty w studio z kabina kontrolną



Popyt na aparaty telewizyjne jeszcze przez jakiś czas nie będzie mógł być zaspokojony. Jeden z mechaników fabryki Murray w Welwyn Garden City wypróbowuje aparat telewizyjny.



Mechanik zakłada przewody słuchowiskowe i wizyjne w aparacie telewizyjnym firmy Murray.



U góry: Teatr baletowy „Sylfidy”. Jedna z tancerek, oparłszy nogę o podstawę mikrofonu, sznurowuje pantofel.

Na prawo: Popularny aktor komediowy, Leslie Henson, bierze udział w licznych słuchowiskach i programach telewizyjnych BBC.



Teatr baletowy. Końcowa grupa w balecie „Les Sylphides”. Undieszczony w środku sceny aparat telewizyjny transmituje widowisko.



Transmisja telewizyjna BBC w Alexandra Palace. „Sw. Joanna” Bernarda Shaw. Od lewej ku prawej: Stanford Holme jako delfin, Ann Casson jako Joanna i Gerald K. Souper jako arcybiskup Rheims.

Ted Heath ze swoją orkiestrą. Aparat (z prawej strony) wycelowany jest na grającego na bębnie Jacka Parnella, nad którego głową widać umieszczony mikrofon.



„Sw. Joanna” Bernarda Shaw w katedrze w Rheims. Od lewej ku prawej: John Medvey, Alan Judd jako Dunois, Ann Casson jako Joanna, Stanford Holme jako delfin i Gerald K. Souper jako arcybiskup Rheims.

Feliks Mendelsohn ze swym hawajskim zespołem śpiewaczym. Po lewej Trio Pulu Moe. Aparat skierowany na Louisa Reyes.

English without Tears

Poniżej podajemy angielski i polski tekst lekcji, która będzie nadawana przez BBC w dniu 2 stycznia 1947.

Lekcja ósma

THE BROWN'S NEW YEAR RESOLUTIONS

MARY: Mummy, how do you spell „resolution”?

MRS. BROWN: Resolution, dear? Resolution.

MARY: Thank you, Mummy. I've written nearly a page in my diary, and I'm writing down my New Year resolutions so that I shan't forget what they were.

MRS. BROWN: Let me see, one of your good resolutions was to keep a diary wasn't it, dear? It was very kind of Mr. Robinson to give you that lovely big one.

MARY: Yes Mummy, it's got a whole page for each day.

MRS. BROWN: Well, in that case, you'll be able to write down everything you do.

MARY: Would you like to see, what I've written so far?

MRS. BROWN: Not now dear. I must see to the lunch, and I've left a kettle on the gas... Hullo, that sounds like John.

JOHN: Oh Mum, I've had such a fine time this morning—

MRS. BROWN: Good gracious, John, what have you been doing? Why, you're soaking wet!

JOHN: Oh, I'm not really wet Mum. It's only my socks. I slipped on the bank and—

MRS. BROWN: Now John, just begin at the beginning. Where have you been, and what have you been doing?

JOHN: Well you see, Tony's uncle gave him a model sailing yacht for Christmas, and we've been down to the pond with it, and—

MRS. BROWN: I see. And I suppose you fell into the water. Well, run along upstairs and get those wet socks off. You've just got time to get tidy before lunch.

JOHN: All right, Mum.

MRS. BROWN: And John, what about that New Year resolution of yours?

Didn't you say you were going to make your bed every morning in future? I had to make it for you this morning.

JOHN: Oh, sorry, Mum! I forgot all about it. You see, Tony came round just after I'd finished breakfast, and I didn't go back to my bedroom.

MRS. BROWN: Well, never mind. Perhaps you'll remember it tomorrow... That's strange.

MARY: What's strange, Mummy?

MRS. BROWN: I thought I heard the front door shut. Surely it can't be Daddy home early?

JOHN: I expect it's Henry.

MRS. BROWN: But Henry's up in his room. He's studying. At least, that's what he said he was going to do!

MARY: Yes, that was his New Year resolution.

JOHN: A jolly silly one, I call it. Fancy wasting time working in the holidays.

MARY: Well, Henry said he was going to read for three hours every morning while he's at home.

HENRY: Hullo, everyone. I've been down to the farm with Ann. We've walked miles... Why what's the matter, why are you all laughing?

MARY: What about your good resolutions, Henry?

HENRY: Good heavens! I was going to study, wasn't I? I completely forgot about it. Well, it doesn't matter I can read this afternoon.

JOHN: Oh, Henry, you promised to come with me to that football match this afternoon!

MRS. BROWN: Oh these good resolutions! It's the same every year. People make lists of their good resolutions, and break most of them before the week is out.

HENRY: Well, didn't you make any good resolution, Mother?

MRS. BROWN: Yes, I'm getting so absent-minded these days that I resolved to be especially careful, and never to let the kettle or the milk boil over.

MARY: Oh Mummy! And you just said you'd left a kettle on the gas!

HENRY: I'll go and turn the gas out for you, Mother.

MRS. BROWN: Well, we're all in the

same-boat! There isn't one of us who has kept these good resolutions we made only two days ago.

MARY: I have, Mummy. I've written a page in my diary.

JOHN: Oh, don't be so pleased with yourself.

MARY: Oh, John, you're horrid.

JOHN: And you have broken a resolution, anyway. You were going to help with the washing-up. And you've been so busy with your diary you forgot all about it.

MARY: Oh Mummy, I am sorry!

MRS. BROWN: Don't worry, Mary. There'll be plenty more washing-up you can help me with.

HENRY: Well I think Dad has the laugh on us all. He won't have broken his resolution.

JOHN: What was that?

HENRY: He said he was too old to improve now, so he was going to try to enjoy himself as much as he could, instead!

POSTANOWIENIA NOWOROCZNE BROWNÓW

Maria: Mamusiu, jak się pisze (sy-labizuje) „postanowienie”?

Pani Brown: Postanowienie, droga? Postanowienie.

Maria: Dziękuję, Mamusiu. Napisałam prawie stronę w moim dzienniku i zapisuję teraz moje postanowienia noworoczne, abym nie zapomniała jakie (one) były.

Pani Brown: Zaraz, niech sobie przypomnę (pozwól mi zobaczyć) — jednym z twoich postanowień było prowadzenie dziennika (Czyż nie?). To naprawdę bardzo uprzejmie ze strony pani Robinson, że dała ci ten śliczny duży (zeszyt).

Maria: Tak Mamusiu, jest w nim cała strona na każdy dzień.

Pani Brown: Dobrze, w takim razie będziesz mogła (będziesz zdolna) zapisać wszystko, co będziesz robić.

Maria: Czy chciałabyś (lubiałabyś) zobaczyć, co napisałam dotychczas?

Pani Brown: Nie teraz, droga. Muszę zająć się obiadem i zostawiłam czajnik na gazie... Halo, to chyba Jan! (to brzmi jak Jan).

Jan: O mamo, spędziłem takie piękne przedpołudnie (miałem piękny czas tego ranka).

Pani Brown: Boże miłościwy, Janie, co ty zrobił? Co widzisz, jesteś przemoknięty do nitek! (przesakająco mokry).

Jan: O, nie jestem naprawdę mokry, Mamo. To tylko skarpetki. Poślągnąłem się na brzegu i...

Pani Brown: No, (teraz) Janie — złącz się od samego początku. Gdzie byłeś i co robiłeś?

Jan: Dobrze — widzisz — wuj Antosia dał mi model jachtu żaglowego na gwiazdkę i byliśmy z nim nad stawem i...

Pani Brown: Rozumiem, (widzę). I przypuszczam że wpadłeś do wody. No, (dobrze) biegnij teraz na górę i zdejm te mokre skarpetki. Masz akurat czas, żeby oporządzić się przed obiadem (zrobić się czystym).

Jan: Dobrze (w porządku), Mamo.

Pani Brown: I Janie, jak tam z twoim postanowieniem noworocznym? Czyż nie powiedziałeś, że będziesz sobie ścielił łóżko co rano w przyszłości? Dziś rano ja musiałam zrobić to za ciebie.

Jan: O — przykro mi, Mamo! Zupelnie o tym zapomniałem. Widzisz, Antos przyszedł zaraz jak skończyłem śniadanie i nie wróciłem (już) do sypialni.

Pani Brown: Dobrze, nie szkodzi. Może będziesz pamiętał o tym jutro... To dziwne.

Jan: Co dziwne, Mamusiu?

Pani Brown: Zdawało mi się, że słyszysz zamykanie drzwi frontowych. To chyba (z pewnością) nie może być Tatus, tak wcześnie? (z powrotem w domu).

Jan: Spodziewam się, że to Henryk.

Pani Brown: Ależ Henryk jest na górze w swoim pokoju. Uczy się. W każdym razie powiedział, że będzie to robił.

Maria: Tak, to było jego postanowienie noworoczne.

Jan: I bardzo głupie, uważam (nazywam je). Pomyślcie! (Wyobraźcie sobie). Marnować czas na pracę w czasie wakacji!

Maria: No, (dobrze). Henryk mówił, że będzie czytał trzy godziny co rano. (w czasie) gdy jest w domu.

Henryk: Dzieńdobry (Halo), wszystkim! Byłem z Anną na farmie. Prze-

wędrowaliśmy mile... Cóż to się stało, dlaczego wszyscy się śmieją?

Maria: Jak z twoim dobrym postanowieniem, Henryku?

Henryk: Dobry Boże! Miałem się uczyć, nieprawdaż? Zupelnie zapomniałem o tym. Dobrze, nie szkodzi. Mogę czytać dziś po południu.

Jan: O, Henryku, obiecałeś pójść ze mną na ten mecz futbolowy dziś po południu!

Pani Brown: Oj, te dobre postanowienia! To samo jes. co roku. Ludzie robią spis dobrych postanowień i lamają większość z nich, nim tydzień uplynie.

Henryk: Czyż nie zrobiłaś żadnego dobrego postanowienia, Mamo?

Pani Brown: Tak. Robię się tak roztargniona ostatnio, że postanowiłam specjalnie uważać i nie dopuścić nigdy, żeby mleko lub woda z czajnika (czajnik) wykypiała.

Maria: Mamusiu! A właśnie mówiłaś, że zostawiłaś czajnik na gazie!

Henryk: Pójdę i zakręcę (dla ciebie) gaz, Mamo.

Pani Brown: Jesteśmy wszyscy z tej samej gliny! (na tym samym statku). Żadne z nas nie dotrzymało dobrych przyrzeczeń, które zrobiliśmy zaledwie dwa dni temu.

Maria: Ja dotrzymałam, Mamusiu. Napisałam stronę w moim dzienniku.

Jan: Nie bądź taka zadowolona z siebie.

Maria: Janie, jesteś wstrętny.

Jan: A ty zlamalaś postanowienie i tak (w każdym razie). Miałas pomagać w zmywaniu (nacznicy) i byłaś tak zajęta swoim dziennikiem, że zupełnie o tym zapomniałaś.

Maria: O, Mamusiu, (tak) mi przykro!

Pani Brown: Nie martw się, Mario. Jeszcze będzie cała masa zmywania, w którym będziesz mogła mi pomóc.

Henryk: No, myślę, że Tatus może śmiać się z nas wszystkich. On nie zlamie swego postanowienia.

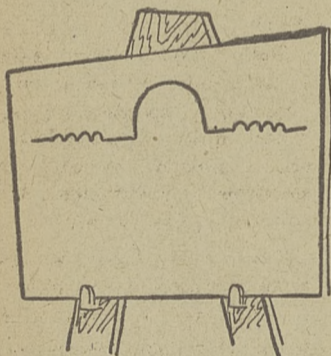
Jan: Co to było?

Henryk: Powiedział, że teraz jest za stary, aby się poprawić, więc będzie starał się zamiasz tego zrobić sobie tyle przyjemności, ile będzie mógł.

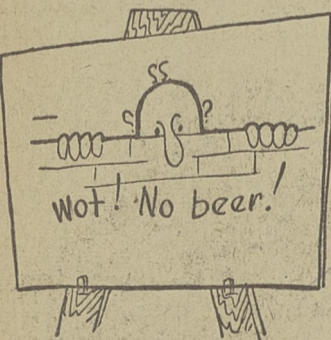
Te negatywne czasy!

Mamy zaszczyt przedstawić naszym czytelnikom popularnego w Anglii pana Chad, który jest tam zapewne równie znany, jak w Polsce Bęc-Walski, lecz ma odmienny charakter.

A oto historia tej interesującej postaci. W pewnej szkole lotniczej w czasie wojny wykładowca, objaśniając słuchaczom jakiś schemat, naskwicował na tablicy następujący mało urozmaicony rysunek:



W czasie paury znalazł się wesoly student, który rysunek ten wykończył według własnej koncepcji artystycznej, dodając po prostu parę linijek i aktualny dopisek:



Postać pana Chad stała się momentalnie popularna w Anglii. Stanowi ona symbol oburzonego, ale odważnego rzędy, który piętnuje wszelkiego rodzaju braki. Wizerunek jego pojawiał się niejednokrotnie na murach domów, ścianach kantyn i drzwiach garnizonów. Podobno w pobliżu Mostu Londyńskiego, gdzie nieznani bandyci dokonali morderstwa, unosząc ze sobą zwłoki ofiary, pojawiła się na drugi dzień — wyrysowana na płócie — głowa pana Chad, typiącego groźnie okiem w stronę nieudolnej policji i dopisek kredą: „Co — nie ma zwłok?” Opowiadanie poniższe zapozna bliżej czytelnika z charakterem tego jego-ności.

W autobusie panował ciężki nastrój niedostatku, zniechęcenia i czczości — nastrój naładowany negacją. „Nie ma żegluga na Dunaju”, „nie ma ochrony Kanału Sueskiego”, „nie ma uzasadnienia dla żadnego z żądań dotyczących Triestu”, „nie ma zmiany w nastawieniu indyjskiej mentalności”.

Za mną jedwabny, purpurowy cylinderek przeprowadzał właśnie gładko jakąś małą paskową transakcję, opartą na ewentualnych zbiorach agrestu w przyszłości. W głodowych rozważaniach wtórował mu przygluchy kapelusz „Eden” z przodu wozu, któremu nie u-



dało się zdobyć swej codziennej porcji: dwóch butelek piwa „Tawny”. („Zaproponowali mi Port-style. Nic innego na składzie. Niech to szlag trafi!”). Nawet konduktorka nie miała drobnych, by zmienić banknot, wręczony jej przez tkwiący obok mnie fiakerski melonik. Wobec tego „melonik” rozpoczął obmacywanie wszystkich kieszeni po kolei, potem zaś przeszukiwanie każdej z nich z osobna, darząc mnie przy tym licznymi szturchańcami łokciem w żołądek.

„Niewiele — oj — miejsca w tym — oj — autobusie”, zauważyłem. Właściciel melonika zwrócił w moim kierunku wspólną parę wąsów. Ponad wydłużoną górną wargą i krótką dolną, obnażającą dwa środkowe zęby gryzonia — ujrzałem

małe, paciorkowate oczka, osadzone w olbrzymich oczodolach pod potężnymi brwiami i nos iście kartoflowatego kształtu. Zagłębiając rękę w kieszeni spodni wyciągnął nogę, przy czym kopnął mnie celnie w samą kostkę. „Co?” zapytał — a gdy powtórzyłem moją uwagę: „Nima miejsca” rzekł, „nima drobnych, nic nima”. Uczulem nagle, że gdzieś go już dawniej widziałem.



Kiedy wysiadłem za nim — (nie zapłacił w końcu biletu i mamrotał teraz sam do siebie: „Żadnego poważania, żadnej organizacji, żadnego niczego”) — przykuły moją uwagę jego szerokie bary, długa szyja, olbrzymie ramiona, wielkie ręce i stopy. Do tego — dziwnie krótkie nogi. Obserwowałem go, kiedy zeskakiwał na chodnik — wciąż z uczuciem, że go przecięż znam. Może z ekranu filmowego? Może z reklamy lekarstwa przeciw astmie? („Momentalnie łagodzi dławiący skurcz”). Może wreszcie z któregoś z listów gończych? („Kto widział obłąkańca?”). Zdążyliśmy ulicą w jednym kierunku.

Śledziłem go ukradkiem, aż zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie dwie knajpy wznoszą się naprzeciw siebie. Drogę zagrażała na wpół zburzony schron. Za jego jedyną stojącą ścianą zniknął nieznajomy — pozostawiając w polu widzenia jedynie swój podrygujący ponad jej krawędzią fiakerski melonik. W pewnej chwili podrygiwanie ustało. Kapelusz zniknął z niewidzialnej głowy i dał się

śłyszeć trzask — jakby rozdeptanego korka. Najwłoczniej nieznajomy wskoczył na swe własne nakrycie głowy. W chwilę potem dwie ręce uczepliły się krawędzi muru i wynurzyły się spod niego paciorkowate oczy i nos. „Co?” zadudnił aż pod niebiosa jego głos. „Co!” — wrzasnął raz jeszcze tonem nabrzmiałym skargą całej cierpiącej ludzkości. Ujrzałem, że paciorkowate jego oczy wlepione były w ogłoszenie, widniejące w oknie ponad moją głową. Było to zawiadomienie, że z powodu braku przydziałów knajpa nie zostanie tej nocy otwarta. I oto nagle kłótliwie zjezony czub wosów, sterczący ponad zadzierzystem kłębem — zidentyfikował go nieomylnie. Znałem przecież ten



niewymownie wulgarny głos — który ryknął oto po raz trzeci: „Co?!” a potem: „Nima piwa!”. Przeszedłem tedy na drugą stronę ulicy, aby ofiarować swoje towarzystwo szanownemu panu Chad we własnej osobie.

Zbliżyłem się do niego z należytym szacunkiem. Przyjął to łaskawie i z godnością. Idąc obok niego rzuciłem uwagę o tym, że kupienie nowego melonika musi być dziś niemałym wydatkiem. Wytłumaczył, że pracuje zwykle z gołą głową, lecz dziś po południu był właśnie w biurach Foreign Office, gdzie próbował bezowocnie zasięgnąć informacji w sprawie swego podania. Staral się mianowicie o pracę w którejś z zamorskich placówek dyplomatycznych. „Praktykowałem już

w obcych językach” — wyjaśnił. Uważał jednak, że trudniej w nich być wymownym, niż we własnym, ojczystym języku. W angielskim na przykład za pomocą paru nieznacznych zmian w tonie i akcentem wyrazić można niesmak, odrazę, rozpacz i tysiące innych nastrojów. Ale te obce języki! „Panie, niełatwo nadać właściwy sens nawet prostym słowom — a weź pan



choćby francuski względem tego: „Kual Pa duil!” Wywnioskował z moich podniesionych brwi, że jestem tępym uczniem. „Nima oliwy” — wyjaśnił. „Niemiecki jest już łatwiejszy. Weh! Kajn Brot — nima chleba. Ale weź pan Włocha: Kejl Nessenno wino!”

Zaczęliśmy rozpatrywać możliwości, jakie przedstawia użycie poszczególnych słów i intonacji w różnych krajach.

W szybkim tempie uzyskaliśmy następujące pozycje:

Egipt — nie ma wojska (beznamiętnie);

Irlandia — nie ma herbaty (współczująco);

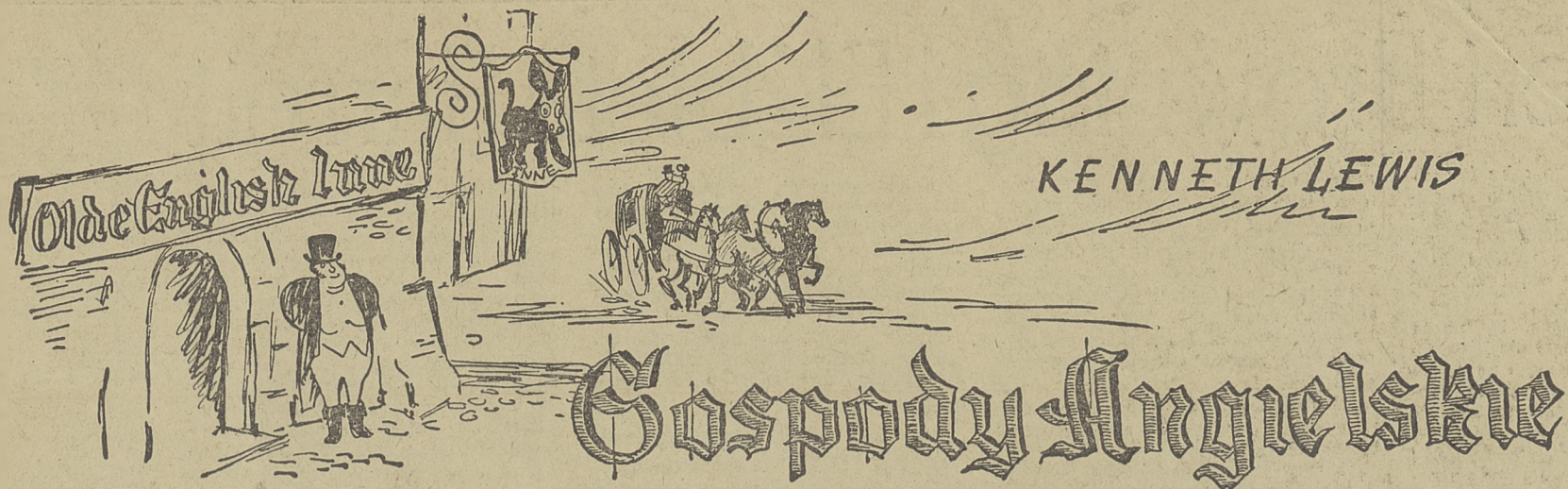
Włochy — nie ma króla (żałośnie);

Hiszpania — nie ma interwencji (szydlerczo);

Francja — nie ma paskarzy (sarkastycznie);

Indie — nie ma muzułmanów ((ostrzegawczo).

(Dokończenie na str. 13)



Gospody Angielskie

Gospodom angielskim brak obecnych gości, którzy odwiedzali je podczas wojny. Byli to po większej części żołnierze, zarówno mężczyźni jak i kobiety, z dalekich zakątków Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i ze wszystkich krajów Europy, z Kanady i z Australii, z Francji, Polski i Czechosłowacji, z Jamajki, z Indii i z wielu innych krajów.

Goście wstępowali do tych zajazdów i racyli się trunkiem, by za chwilę pójść dalej w swoją drogę. Jednak nastrój gospody pozostawał zawsze ten sam. Jest to może powodem, dla którego goście zawsze wracają, wiedząc bowiem, że oczekuje ich serdeczne przyjęcie.

Atmosfera zajazdu angielskiego jest niezmienna. Nie zdołało wpłynąć na nią zjawienie się maszyny parowej ani era samochodu. Gospoda jest po prostu częścią krajobrazu angielskiego, podobnie jak kościół, chata i łąka wiejska.

Angielska gospoda służy nie tylko miejscowemu społeczeństwu, lecz także przejeźdnym. Niejeden wędrowiec z dalekiej krainy odkrył skarb angielskiej gościnności przy ladzie wiejskiej karczmy. Niejedna przyjaźń na śmierć i życie została zadzierżgnięta nad kwaterką piwa.

Zagłębić się w historię angielskich zajazdów, to odkryć coś z historii samej Anglii.

W dawnych czasach gospoda nie tylko dawała schronienie, posiłek, napój i rozrywkę podróżnym, lecz była także ważnym ośrodkiem władz miejskich.

Używana była jako sala sądowa przez sędziów śledczych i urzędników miejskich; niejednokrotnie odbywały się w niej sesje kwartałne; bywała główną kwaterą komitetów wyborczych w walkach politycznych; pokoje zajazdów gościły ludzi wybitnych, często nawet członków rodziny królewskiej; były zawsze ośrodkiem miłej pogawędki i pertraktacji handlowych.

Musimy się cofnąć myślą do wieku XV-go, by znaleźć pierwsze wzmianki o gospodach.

Od samego początku, szylid nad wejściem wyróżniał dom, w którym „można było znaleźć dobrą miarę angielskiego piwa”.

Mało ludzi umiało wówczas czytać; szylid, gdzie obrazki zastępują słowa, świadczy o patronacie społeczeństwa. Równoległe ze wzrostem umiejętności czytania zaczęto nadawać gospodom nazwy; szylid pozostawał i tłumaczono go według treści jego obrazu. Wszystkie szylidy wyobrażały jakiś element życia angielskiego, łatwo zrozumiały dla ludu, stąd nazwy takie, jak: Pod psem i kaczką, Pod wiechą itd.

Niejeden spośród zajazdów, które noszą te nazwy, jest zabytkiem dawnej architektury. Należą one do najstarszych i najbardziej osobliwych budynków Anglii.

Wiele najstarszych zajazdów, zwłaszcza w południowej Anglii, łączy się z tradycją dawnych rozbójników; są tam tajne przejścia piwniczne, pokoje, w których dokonano niejednego zabójstwa i kryjówki, używane przez przemytników. W Hampstead's i Heath Dick Turpin miał zwyczaj

pokrzepiać się w Gospodzie Hiszpańskiej przed każdą ze swych regularnych wypraw zbójckich. Karczmy przemytników na południowym wybrzeżu Anglii stanowią dla zwiedzających atrakcję, dorównującą prawie gospodom, w których „straszy”.

Jedną z wielu gospód, o których wiadomo, „że tam straszy”, jest gospoda „Pod czarnym koniem” w Cirencester. Chodzą wieści, że w jednej z komnat ukazuje się bardzo stara dama, która znikła, skoro tylko rozlega się głos ludzki. Cisza zalega bardzo rzadko gospodę „Pod czarnym koniem”. Toteż dama musi częściej znikać, niż chodzić po sypialniach. Mimo to niektórzy stali bywalcy przysięgają, że ją widzieli.

Owa starodawna tajemniczość otacza wiele angielskich zajazdów niezrównanym czarem. Piętno historii jest wyryte na ich murach. Wieki temu zajeżdżali do nich ci nieśliczni, którzy podróżowali dyblizantem i kon-



„Gospoda pod okrętem” w Porlock, Somerset.



Stara gospoda przemytników, Alfriston, Sussex.

szy rozkwit obozów, jako miejsca spotkań podróżnych angielskich i cudzoziemskich. Właściciel obozów zajęty był dniem i nocą; prawie wszystkie prowincjonalne piwiarnie rozszerzały swoje stajnie, by móc pomieścić dyblizanse. Stajnie te istnieją dotychczas; wiele z nich zamieniono na garaże; jeśli chodzi o wnętrza zajazdów, zachowały one wszystkie cechy charakterystyczne, które mówią odwiedzającym o dniach dawno minionych.

Pod dębowymi krokwiami, które w miastach, miasteczkach i wsiach były świadkami dziejów wyspy, mieszkańcy W. Brytani: do dnia dzisiejszego rozkoszują się w starej karczmie ciepłem, komfortem i piwem. Obcokrajowiec jest zawsze chętnie widziany i nigdy nie czuje się dłużej obcym.

Stali bywalcy tych zajazdów — a mają one wszystkie swoją stałą klientelę — spodziewają się, że zobaczą znowu w przyszłości niejednego spośród owych zamorskich chłopców w mundurach, których tak polubili podczas wojny.

Gdy przyjdą znowu w odwiedziny, może przywiozą swoje rodziny ze sobą. Wyszuszą wówczas beczkę piwa w mgnieniu oka! Będzie wtedy więcej niż w latach wojny smacznego, starego portera.

Powitanie będzie równie serdeczne, a szynkarz George i szynkareczka Annie skorzy będą do wesołej gawędy z naszymi przyjaciółmi zza morza.

no i to jedynie dlatego, że zmuszał ich do tego pilny interes. Całkowity prymityw charakteryzował ówczesne urządzenia. Dziś mamy w Anglii większe wygody w więzieniu, niż te, które dawała obozowa XV wieku.

Podłogi były kamienne lub gliniane, przykryte gałązkami lub sianem. Goście przynosili własną żywność. Przepielnienie było zjawiskiem stałym.

Pod koniec XVI-go wieku nastąpiła przemiana. Dywany pokryły podłogi, kilimy ozdobiły ściany.

Posiłki stały się tanie, a kuchnia dawała to, co można było zjeść najlepszego w Anglii: pasztet z kawki, zajace, dziczyznę i pstrągi.

W XVIII wieku roast beef stał się popularnym daniem, towarzyszącym szklance piwa.

W XIX wieku notujemy największe

BIULETYNY W JĘZYKU POLSKIM nadaje radio brytyjskie codziennie o godzinie:

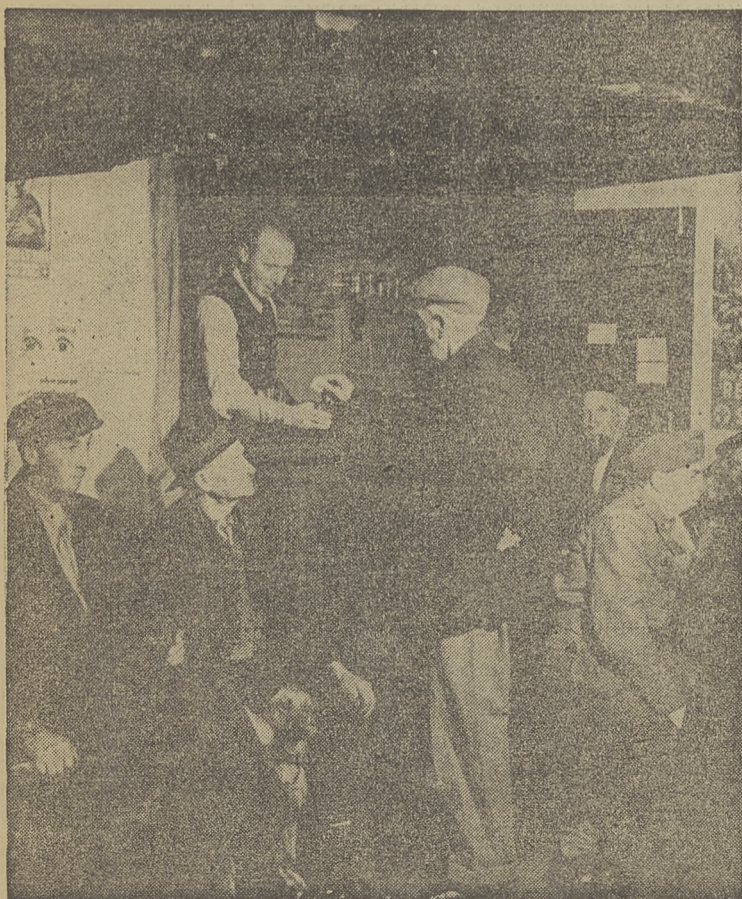
07.15 — 07.30: Wiadomości. Na fali 1796; 455.9; 307; 49.59; 41.21; 31.17 m

12.15 — 12.30: Głos Ameryki. Na fali 1796; 455.9; 267; 41.21; 31.17; 25.38 m

14.30 — 14.45: Wiadomości i program. Na fali 1796; 455.9; 307; 267; 41.21; 31.17; 25.38 m

20.30 — 21.00: Wiadomości i program. Na fali 1796; 455.9; 41.21; 31.50; 31.17; 25.68; 25.30 m

21.30 — 22.00: Wiadomości. Na fali 556, 40.98, 49.59.



Wnętrze wiejskiej gospody. Karczmarz nalewa tradycyjnego angielskiego piwa jednemu z najstarszych mieszkańców wioski.



Gospoda w Norton St. Philip, Somerset.

Robert Browning i Elżbieta Barrett

„Komedianci”
Nowy francuski film w Londynie

Dnia 12 września tego roku święciliśmy setną rocznicę zawarcia romantycznego małżeństwa między Robertem Browningiem a Elżbietą Barrett. Był to związek dwojga poetów, których poezja umocniła się i wzbogaciła — poprzez miłość.

Nie często się zdarza, by poeta dzięki małżeństwu stawał się lepszym artystą. Zwykle tak się dzieje, że kiedy dwoje artystów łączy się węzłem małżeńskim, to cierpi na tym albo sztuka, albo małżeństwo. Zdarzają się jednak wyjątki. Wyjątkiem może najbardziej godnym uwagi było małżeństwo Browningów. Ich sztuka nabrała siły, a małżeństwo ich było jednym z najszcześniejszych i najbogatszych duchowo związków, znanych w historii.

Browning i bez tej miłości stałby się wielkim poetą. Miał lat 35, kiedy poznał swoją przyszłą żonę i już wtedy twórczość jego cieszyła się powszechnym uznaniem. Lecz małżeństwo wzmocniło go niezmiernie, jako człowieka i jako poetę, a przede wszystkim było dlań stałym ośrodkiem namiętnych wzruszeń i burzliwych myśli.

Dla Elżbiety Barrett związek ten był jedynym oparciem i natchnieniem. Poza tym dał jej — dosłownie — prawdziwe życie. I ona również pisała wiersze na wiele lat przedtem, nim spotkała Browninga. Lecz jej miłość do niego ujęła w karby jej niepokornego ducha, który wyraził się teraz w łagodnej formie „Sonnets from the Portuguese” („Sonetów Portugalskich”). Jako wiersze miłosne sonety te nie mają równych sobie w języku angielskim. Miłość była ukrytą przyczyną i natchnieniem jej listów, które stały się jednym ze skarbów angielskiego ducha.

Kiedy Browning został jej po raz pierwszy przedstawiony, Elżbieta była na wpół kaleką. Ojciec jej był typowym tyranem z epoki wiktoriańskiej, a jego rodzicielski autorytet był przykrywką dla patologicznego stanu umysłowego. Miał jedenaścioro dzieci; wszystkie tyranizował.

Elżbieta była najstarszą i najbardziej przez niego kochaną (człowiek ten bowiem kochał najwięcej tych, którym życie udało mu się zatruć). Była ona zatem całkowicie w jego mocy; biedna kaleka, którą dziś wysłanoby w góry na świeże powietrze, by odzyskała zdrowie. W XIX wieku w Anglii, chora przykutą była do kanapy, stojącej w ciemnym pokoju, i zdawało się, że całe swe życie spędzić może jedynie na wdychaniu.

Elżbieta jednak nie wdychała. Miała swoją poezję i żywe zainteresowania intelektualne. Umiała zachęcić swych znajomych do odwiedzenia jej, z tym zastrzeżeniem jednak, by nie spodziewali się zbyt „gościnnego przyjęcia” przez jej rodzinę. Elżbieta czuła się szczęśliwą, będąc otoczoną przyjaciółmi, którzy dla jej dobra znosili nieznośną atmosferę domu Barrettów. Pomiedzy jej gośćmi był nasz święty poeta, który wtedy wznosił się do szczytu swej mocy twórczej.

Odwiedzał ją regularnie przez dwa lata, a później wywiózł ją nie tylko z tego domu, w którym skazana była na śmierć, lecz i z samego kraju, daleko, do ciepłej, południowej Italii. Przez 15 lat żyła pełnią czynnego życia. Ojciec Elżbiety zmarł nie przebaczywszy jej tego, że uratowała swoje życie.

Niekoniecznie trzeba wiedzieć o życiu Browningów, ażeby należycie ocenić ich poezje.

Lecz skoro już tyle o nich wiemy, a wiadomości te rzucają sporo światła na ich twórczość, byłoby z naszej strony rzeczą niegodną zignorować je kompletnie. Robert Browning był wybitną angielską postacią tym bardziej, że nigdy nie było Anglika, zupełnie do niego podobnego.

Był on poetą do głębi swej istoty. Myślał w języku poezji. Myślami swymi wędrował daleko, a jeśli chodzi o bogactwo języka, to można go porównać tylko z Szekspirem. W rezultacie poezja jego jest czasem niejasna i trudna ze swymi pomiesznymi obrazami, zmiennym rytmem i nadużywaniem słów mało znanych.

Trudność zrozumienia niektórych jego wczesnych wierszy, jak np. „Sordello”, stworzyła mu opinię raczej myśliciela, niż poety. Wśród tych, którzy w poezji szukali pewnej łatwości, uczuciowości i płynności wiersza, Browning stał się znanym jako poeta-filozof. A w rzeczywistości nie śniło mu się nawet by filozofem. Drugim etapem tej z gruntu fałszywej interpretacji jego twórczości było „odkrycie”, że Browning jako filozof nie był ani jasny, ani logiczny, ani głęboki.

I oto przez pewien okres czasu ten urodzony poeta był potępiony przez wielu ludzi za to, że nie był urodzo-

nym filozofem, a jedyną przyczyną tego stanu rzeczy była nadzwyczajna intensywność jego poetyckiej wyobraźni. Jego poetycka ekspresja, odarta z wszystkiego, co nie istotne, zmieniła język w rodzaj gwałtownych skrótów. Kiedy styl ten użyty jest na właściwym miejscu, kiedy jest niepotrzebny, staje się, szczerze mówiąc, dziwaczny. Lecz częściej ta zwężoność stylu jest naprawdę piękna, jak np. w poniższym wyjątku z utworu „Rabbi Ben Ezra”:



Elżbieta Barrett Browning

„Grow old along with me!
The best is yet to be,
The last of life, for which the first
was made:
Our times are in His hand
Who saith 'A whole I planned,
Youth shows but half; trust God; see
all, nor be afraid!'”

Jeśli chodzi o filozofię Browninga, to była to filozofia zwykłego człowieka o niepokonanej odwadze. Jest ona streszczona w epilogu „Asolanada”, który ukazał się w druku w dniu jego śmierci:

„One who never turned his back but
marched breast forward,
Never doubted clouds would break,
Never dreamed though right were
worsted, strong would triumph,
Held we fall to rise, are baffled to
fight better,
Sleep to Wake’.”

E. H. MEYER

Muzyka kameralna Williama Lawes

William Lawes był do niedawna mało znany, a przecież jest to kompozytor wybitny i oryginalny. Za jego życia jedynie nieznaczna część utworów doczekała się opublikowania, a po rozwiązaniu stowarzyszenia Królewskiej Kaplicy w Londynie w r. 1648 muzyka Lawes'a popadła w zapomnienie. Większość jego pełnych uroku partytur ponieważ się gdzieś po starych archiwach. Nadziedziliśmy wreszcie czas, by odżyła na nowo muzyka tego człowieka, o którym śpiewał Robert Herrick: „Z tobą muzyka się zrodziła i z tobą umarła”.

O życiu Williama Lawes wiemy bardzo niewiele. Urodził się prawdopodobnie w r. 1582. kształcił się u Giovanni'ego Coperario (alias John Cooper), jednego z wybitniejszych muzyków epoki elżbietańskiej i jakobińskiej. Lawes wszedł do Kaplicy Królewskiej w roku 1603 i pozostał na służbie dworskiej do śmierci, którą poniósł w r. 1645, podczas oblężenia miasta Chester. Król Karol tak się przejął jego śmiercią, że nakażał specjalną żałobę, a wielu jego towarzyszy poświęciło pamięci swego wielkiego przyjaciela szereg przejmujących utworów.

Większość dzieł Williama Lawes to instrumentalne utwory taneczne, względnie utwory na różne zespoły instrumentów smyczkowych, niektóre z nich zawarte są w jego „Royal Consort” i „Great Consort”. Większość tych utworów przechowała się do dziś w bibliotece bodlejańskiej Oxfordu. Niektóre z jego fanta-

Browning mógł, szczególnie po śmierci swej żony, czuć się zawiedziony i zachwiany w swej wierze, zwiadcza że podczas jej życia próbował wzbudzić w sobie tę ufność w miłosierdzie osobowego Boga, jaką ona posiadała. Jego własna wiara polegała na uznaniu potęgi dobroci ludzkiej. Zaczynał wątpić tylko wtedy, kiedy spoglądał poza duszę ludzką:

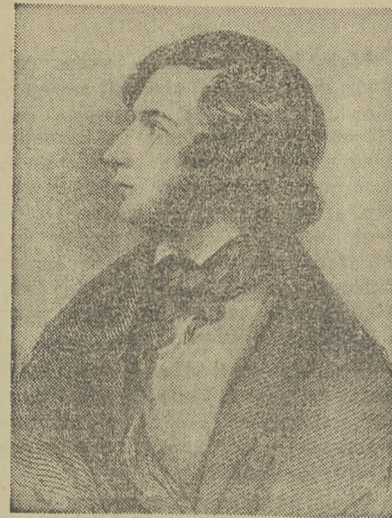
„Just when we're safest, there's
a sunset touch,
A fancy from a flower-bell, someone's
death,
A Chorus-ending from Euripides —
And that's enough for fifty hopes and
fears
As old and new at once as nature's
self,
To rap and knock and enter in our
soul,
Take hands and dance there,
a fantastic ring
Round the ancient idol on his base
again
The grand Perhaps”.

Innym czynnikiem, który po śmierci Browninga przyćmił na jakiś czas jego sławę (za życia uznano go za największego ze wszystkich żyjących poetów), był fakt, że nic a nic nie wyglądał na poetę w sensie, w jakim sobie poeę wyobrażał XIX wiek. Należał on do stanu, który dziś moglibyśmy nazwać burżuazją (we francuskim tego słowa znaczeniu). Wyszedł ze średniego mieszczaństwa, w owej typowo mieszczańskiej epoce wiktoriańskiej. Browning był z tego dumny.

Zdawał sobie sprawę, że struktura wiktoriańskiego społeczeństwa była przyczyną licznych anachronizmów, okrucieństw i ukrytych nieszczyść. Lecz był przekonany, że zła tego nie było więcej, niż w innych społeczeństwach. Ponadto system wiktoriański miał swoje uzasadnienie w tym, że odpowiadał duchowi angielskiemu, którego był wytworem. Jako zwykły obywatel, popierał go, ponieważ zapewniało mu to ustaloną pozycję i wolność myśli. Dzięki temu mógł jako poeta wniknąć w ogromne problemy światowe, które paliły jego poetycką wyobraźnię.

Miał on świetne dane, by tego dokonać. Jednym z powodów, dla których Browning nigdy nie mógł być filozofem, była wszechstronność jego uczuć. Każdy człowiek miał dla niego wartość przez sam fakt swe-

go istnienia. Powodowany instynktem lub rozmysłem, pisał o nieznanym ludziach. Encyklopedyczna wprost znajomość przeszłości, specjalnie zaś historii średniowiecza ze szczególnym uwzględnieniem historii Italii, gdzie spędził dużą część swego życia, dostarczyły mu typów, których potrzebował. Byli to ludzie, zwykli ludzie, którzy naprawdę żyli. Ich dzieje miały kiedyś miejsce, a ponieważ dzieła nas od nich sporo czasu, możemy spojrzeć obiektyw-



Robert Browning

nie na ich czyny, nie wypaczone legendą.

Jego arcydzieło „The Ring and the Book” (Pierścień i książka) oparte jest na najzwyklejszej w świecie historii, mianowicie — na rozprawie przeciw włoskiemu szlachcicowi, hrabiemu Guido Franchesi, oskarżonemu o zabójstwo swej żony Pompilii. Browning znalazł tę historię w nieznanym tomie, wypożyczonym z jakiejś biblioteki we Florencji. Poemat jest prostym sprawozdaniem z rozprawy, widzianej z różnych punktów widzenia; spotykamy się z postaciami mieszczań, z zapatrywaniem osób wciągniętych do rozprawy i z nastawieniem samego mordercy. Ideą przewodnią Browninga było, by przez poezję wskazać na liczne przejawy prawdy, prawdy w całym swym majestacie. Prawda najprostszego, najzwyklejszego wydarzenia, może być zrozumiana tak wielostronnie, że staje się w swej istocie równie niedostępna, jak absolutna prawda samego wszechświata.

bywają nader uczuciowe, jednakże spotykamy często partie śmiałe i skomplikowane, gwałtownie przebiegające całą skalę tonów, jak gdyby nie istniały stare prawa kontrapunktu. Spotykamy też kombinacje instrumentów o rozbieżnych właściwościach tonu, przy czym każdy instrument ma bardzo samodzielną partię. W tym właśnie rozwinięciu i różniczkowanym stylu instrumentacji leży oryginalność Lawes'a.

Skąd się wziął ów charakter eksperymentalny muzyki Lawes'a? Żył on i pracował w atmosferze dworskiej. Życie zaś kulturalne dworu było swoiste: z jednej strony podtrzymywano całą wystawność i blask, które znajdowały typowy swój wyraz w maskaradach dworskich; z drugiej starano się kontynuować tradycję zamierającej już epoki kulturalnej. Artysta z konieczności odzwierciedlał owe przeciwstawne tendencje. Sztuka jednak, której poświęcał największej czasu i wysiłku, rozwijała się jak roślina, pnąca się fantastycznie i kręto w cieśnię.

Stąd owa przedziwna mieszanina przeciętności i wyrafinowania, intymności i pompy. Publiczność współczesna kochała jego piosenki i tańce, nienawidziła natomiast jego muzyki polifonicznej, która wydawała się jej „surową, ponurą i pogmatwaną”, jak to określił jeden ze współczesnych. W rzeczy samej, „Fantazje” Lawes'a zrozumiano dopiero na tle całokształtu jego utworów, jak świetny wykwit fascynującego okresu dzieł Anglii.

Nareszcie przybył do Londynu drugi i kosztowny film, reżyserii Marcel'a Carné, zatytułowany „Les Enfants du Paradis” (Komedianci). Film ten jest pomnikiem osiągnięć pracowników francuskiego przemysłu filmowego podczas okupacji.

Był to potężny trud, zebrać w tamtych czasach takie bogactwo strojów i pomysłów i tak obrzytm zespół aktorski, z tak znakomitymi aktorami na czele jak Arletty, Jean Louis Barrault i Pierre Renoir. Akcja filmu rozgrywa się aktualnie 100 lat temu na terenie Boulevard du Temple (jest to siedziba aktorów bulwarowych, szarlatanów, złodziei kieszonek i wszelkiego rodzaju wspaniałych typów lotrzyków). Niektóre postacie filmu są osobami znanymi w historii teatru, np. Frédéric Lemaître, i mistrz-pantomimy, clown Fantiste Debarau.

Film przedstawia fantastyczne dzieje ich obydwo: jak to każdy z nich, wyszedłszy z niesłychanej nędzy, doszedł do niesłychanej sławy i jak obydwa kochają jedną kobietę, Garance. Jeśli można w ogóle wywikłać jeden wątek z tego splotu scen zbiorowych, scen miłosnych i scen teatralnych, to ogranicza się on mniej więcej do stwierdzenia, że życie płynie (czasami bezlitośnie, czasami uroczo), bez względu na wszystko inne.

Temat ten nie jest szczególnie oryginalny. Lecz niekoniecznie jest też Powinno się dodać nawiasem, że ten „Paradis” nie jest rajem, lecz... „paradyzem”, galerią teatralną. „Les Enfants” są to aktorzy wielbieni, krytykowani i znów wielbieni przez ten kapryśny Olimp.

Pomniki mogą imponować swoimi wymiarami. „Komedianci” napewno imponują, w tym sensie. Film mógłby być łatwo obcięty, lecz choć jest to paradoksem — nie można sobie wyobrazić, żeby zyskał przez skróty; straciłby coś ze swojej wirtuozerii i mógłby się stać niczym więcej, jak zwykłym dobrym filmem. Czy jest więc niezwykły dobrym filmem, w swym obecnym stanie? Odpowiedź: nie jest niezwykły dobry, lecz jest niezwykłym świadectwem możliwości głównych aktorów Barraut i Brasseur ukazują bez przerwy nowe odrodzenie talentu aktorskiego, którymi przeciwstawiają się monotoni. Arletty — cóż innego można o niej powiedzieć, jeśli nie to, że jest tym wszystkim, czym powinna była zostać Marlena Dietrich? Gdzie więc jest słaby punkt filmu? Leży w tym, że jest on za bardzo wystawą genialności aktorów, a za mało filmem, który idzie naprzód i rozwija akcję. Tacy aktorzy nie mogą być nudni, lecz potrzebują więcej życia i — bardziej ruchliwej akcji.

Reżyseria Carne'go jest wspaniała we wszystkich szczegółach, lecz historii, którą nam opowiada, brak napięcia. Pozostaje w widzu podziw dla wspaniałości, lecz również uczucie, że na jej dnie leży pustka.

Wydaje się, jakby cały wielki wysiłek poległ na zebraniu wielu talentów i efektów, jakby samo zrobienie filmu było sprawą drugorzędną. To monumentalne dzieło zyskałoby zapewne nie przez zmniejszenie długości, lecz przez większą treściwość tematu i może przez ograniczenie wystawy.

UWAGA!

Wielką korzyść przyniesie uczącym się po angielsku słuchanie lekcji, nadawanych co dzień w godzinach:

06.45—07.00 na fali 1796; 456 m.

07.00—07.15 na fali 267 m

08.45—09.00 na fali 1796; 456; 257; 49.59; 31.17; 41.21; 31.50; 25.30 m.

13.00—13.15 na fali 267; 41.32; 31.50; 30.96; 25.30; 19.61 m

13.30—13.45 na fali 456; 41.21; 31.17; 25.15 m.

16.45—17.00 na fali 1796; 456; 267; 40.98; 31.17; 25.42; 41.32; 31.50; 25.30; 19.61 m.

22.45—23.00 na fali 1796 m.

23.45—24.00 na fali 1796; 456; 267; 49.59; 40.98 m.

Streszczenie wiadomości dyktowane powoli dla uczących się angielskiego:

13.15—13.30 na fali 267; 41.32; 31.50; 30.96; 25.30; 19.61 m

14.45—15.00 na fali 1796; 456; 267; 41.21; 31.17; 25.15; 41.49; 31.01; 25.68 m.

Pisarze i krytycy

Kryzys wyobraźni

„The Living Novel” Żywa powieść
V. S. Pritchett.

Niewielu krytyków literackich czyta się z takim zainteresowaniem jak V. S. Pritchetta, a żaden z nich nie posiada w tym stopniu cechy, dzięki której czytelnik od razu chwytła omówioną przez Pritchett książkę. Będąc sam twórczym pisarzem, Pritchett namiętnie interesuje się aktem twórczym u innych. Na czym polega świeżość, jakie są wieczne żywe zalety tych dawnych powieści? Czy różnią się one jedna od drugiej? Jak np. oszczędziły książkę Smolett'a „Peregrine Pickle”, gdyby żył za jego czasów? Czegoż po tylu latach mogliby nas jeszcze nauczyć Fielding, Scott, Sterne i tuzin innych, jeśli chodzi o napisanie dobrej powieści?

Czy Pritchett jest w ogóle krytykiem? Sam się tego zapiera. „Wybrałem się w pewną ilość krótkich podróży powtórnie odkrywczych, jestem za leniwy i zanadto wyłączny w swoich poszukiwaniach, bym mógł się nazwać krytykiem — jestem raczej zwyčajnym czytelnikiem, który własną sobie rzepkę skrobie”. Pritchett jest zbyt skromny: Czymże jest jego „rzepka”, jeśli nie wiara, że w literaturze wszystkie inne względy powinny ustąpić miejsca intensywności odczuwania? I czymże jest jego skromność, jeśli nie poczuciem się do winy za to, że się tak haniebnie ubawił; za to, że się tak rozczynał w tych autorach, którzy dostarczali mu natychmiastowej przyjemności? Jeśli eseje w jego „Żywej powieści” nie są krytyką literacką, to tym gorzej dla krytyki.

Prawdę mówiąc V. S. Pritchett jest literackim dżokiem, który kroczy przed malowniczym tłumem interesujących go powieściopisarzy angielskich, francuskich, rosyjskich i jednym Włochem. Chwilami entuzjazm tak go ponosi, że porzuciwszy swój „topór wojenny”, zaczyna bujać w przestworzach. Wyobraźnia jego wtedy daleko wyprzedza autora książki, z którą Pritchett ma na pieńku. „Miss Mathews (jedna z bohaterów powieści Fieldinga) jest wspaniałą dziewczką. Jestem uradowany, że pułkownik nie chce jej porzucić, uradowany (w przeciwieństwie do Fieldinga) że Miss Mathews się roztyła — tymie sprawa jej przecież taką przyjemność”. Można się spodziewać, że nie wszyscy autorzy przyzwyczajeni na takie traktowanie. Jane Austen, Proust, a przede wszystkim Henry James, stanęli z boku z wyrazem niezadowolenia na twarzy. „Bardzo to wszystko zabawne, mówią, ale jak mało artystyczne”.

Pritchett nie zwraca na nic uwagi, jak gdyby miał poparcie tysiąca zachęcających mrugnięć od tysiąca podobnie myślących widzów. Zdawałoby się, że słyszymy jak mówi: „Czy

można?” — w chwili, kiedy zabiera się do Dickensa, tego jedynego w swoim rodzaju powieściopisarza. Tyśiące niewidzialnych popieczników udziela mu swej miłczącej aprobaty i Pritchett wyjeżdża z taką uwagą: „Właściwością, która wyodrębniła postaci Dickensa, jest ich samotność, są to ludzie podpatrzni w jakimś zupełnie własnym świecie”. Spostrzeżenie nowe, subtelne i przykuwające; dlatego wydaje się w pewnej mierze prawdziwe. Przewyciężamy w sobie urazę do tego sposobu patrzenia i przychodzą nam na myśl: diabli wiedzą, czy on nie ma racji? Wtedy czynimy to, co Pritchett miał na celu od samego początku: wyciągamy zakurzone tomy Dickensa, George Eliota czy Richardsona i staramy się udobruchać ducha wątpliwości, którego Pritchett tak chytrze wywołał.

Ale o czym rozmawiają tak poważnie owe trzy postaci, stojące z boku? W chwili gdy się zbliżamy, Henry James wymachuje parasolem. „Uważam, że artysta musi doskonale wiedzieć, jak tworzy, inaczej w ogóle nie tworzy. Uważam, że „percepcja spraw tematu” musi go pochwycić jak kleszcze nalogu i, że (mając temat dobrze sformułowany) winien dostrzegać wyraźnie drogę, którą iść trzeba, by nie zbroczyć na manowce”.

Miss Austen patrzy w inną stronę — jest znużona. Henry James dalej snuje swój myśl: „Nie podzielam zdania tego pana (chodzi o Pritchetta), który ma jakiś teatralny sposób mówienia, kiedy twierdzi, że obraz może czerpać obiektywną jednolitość z jakiegokolwiek źródła poza osobowością autora”.

Otrzymałszy tak wiele od James'a, byłoby dowodem złego wychowania prosić o więcej. Czego się Pritchett nauczył z tych wszystkich książek, które czytał i czemu owa „intensywność odczuwania” ma być ważniejsza dla pisarza niż badanie tego, co (w braku mniej pretensjonalnego określenia) nazwiemy „sztuką powieściopisarstwa”? Pritchett nie stara się rozstrzygnąć tej sprawy w błyskotliwym artykule, którym odpowiada na ankietę, przeprowadzoną przez Johna Lehmana na temat „Przyszłość beletrystyki”. Pritchett wykazuje, że powieść ma bardzo ściśle związek z wierzeniami ogółu (twierdzenie to dodaje nam otuchy) oraz, że autor, by przełamać zachorowany krąg swej osobowości, zajmuje się tworzeniem typów: obłudnika, skąpca itd. Pritchett zdradza także (choć się do tego nie przyznaje) swój wstręt do formalizmu w sztuce, swoje przekonanie, że nie warto odierać ataków parasola H. Jamesa. Numer „New Writing and Daylight”, w którym ukazały się odpowiedzi na ankietę, jest niezmiernie interesujący. Szkoda tylko, że znów musimy powtórzyć częstą dziś skargę: artykuły krytyczne są lepsze, niż twórczość oryginalna...

P. H. Newby (The Listener).

Te negatywne czasy!

(Dokończenie ze str. 10)

Powiedziałem: „Oczywista, że ma pan przed sobą pole do użytecznej pracy, która starczy panu na całe życie. Winstujuję panu z całego serca pańskich możliwości”.

Doszliśmy tymczasem do jego domu równocześnie z listonoszem, który zasalutował i wręczył mu list ze stemplem: „W służbie Jego Królewskiej Mości”. Oto, jeśli się nie mylę, nominacja z Foreign Office — wyběknotał, chwytając pożądlivie kopertę. Otwierając ją, puścił na chwilę wodze swej imaginationsi. „Palestyna”, wyszeptał,



„Argentyna, Malaje... Abercaj-Aseraj — no, Persia...”

Rozłożył list i zaczął czytać. Twarz mu spochmurniała. „Co?!” ryknął, „Co?!” zagrzmiął w strasznej furii: „Nima miejsca! Nima zapotrzebowania na takich awanturników! Nima precedensu!”

Podał mi list. „Nima odwagi” — oświadczył chłodno i osunął się bez życia o moich stóp.

Recenzja z książki: „The Love Game Comedy”. (Gra miłosna w komedii). David Lloyd Stevenson.

Bacon i Johnson mieli conajmniej jedną cechę wspólną: niewrażliwość na urok miłości w jej scenicznej interpretacji. Nie całkiem się jednak zgadzali. „Miłość jest zawsze tematem komedii, a od czasu do czasu także tragedii” — mawiał Bacon — „w życiu jednak wyrządza wiele szkód”. Dla Johnsona miłość „jest tylko jedną z namiętności” — nie ma wielkiego wpływu na całokształt życia. „Nie możliwym jest kochać i być mądrym” myślał Bacon. „Sa inne szaleństwa, równie wielkie i równie złośliwe” — brzmiała opinia Johnsona. I tutaj powoływał się na Szekspira; „miłość odgrywała niewielką rolę w sztukach tego poety, który czerpał pomysły swe wprost z żyjącego świata i wystawiał to tylko, co widział przed sobą. Wiedział on, że także każda inna namiętność, zależnie od tego czy jest umiarkowana czy nadmierna, staje się powodem radości albo udręki”. Szekspir — twierdził — nie należał do kategorii dramaturgów, którzy kwalifikali zasadę prawdopodobieństwa, fałszywie przedstawiali życie i psuli język, przez wprowadzenie do sztuk swych amanta, damy i rywala po to tylko, aby „zawikłać ich w sprzeczne zobowiązania i wytracić z równowagi gwałtownością przeciwnych sobie uczuć; aby kazać im spotykać się w zachwycie i rozstawać się w mecie; aby kazać im wyrażać przesadnie wyolbrzymioną radość i oburzająco przesyadny smutek; aby wtrącać ich w rozpacz, jakiej nigdy nie zaznała istota ludzka; wreszcie — uwalniać ich od meki w taki sposób, w jaki żadna istota ludzka nie zobowiązuje nigdy oswojona”.

Dr Stevenson, profesor Uniwersytetu w Kolumbii — różni się od Johnsona w swoich poglądach. Przypisuje on Szekspirowi wielkie i inteligentnie wyszukane zainteresowanie miłością — pojętą jako temat dramatyczny. Podstawowa teza jego książki brzmi następująco: Szekspir w życiu i twórczości dążył do pogodzenia pierwiastka idealnego z realnym. Był też pierwszym, któremu się to bezsprzecznie udało. W „Love's Labour's Lost” (Stracone zachody miłości), „As You Like It” (Jak wam się podoba), „Much Ado” (Wiele hałasu o nic), dał on wyraz sceniczny przebiegowi intrygi miłosnej, przy czym postawa jego w stosunku do omawianego zagadnienia była w każdej sztuce odbiciem innej, reprezentowanego przez literaturę współczesną poglądu. Jego przenikliwość psychologiczna była jednak niezrównana. Nie gardząc wskazówkami, jakie zaczerpnął u Lyly'ego, Szekspir stworzył wzór komedii miłosnej — wyzyskany i rozbudowany następnie przez Congreve'a, przystosowany do wymogów dnia przez G. B. Shawa, wyczelowany i wypolerowany przez Noel Cowarda. Błyskotliwe sprzeczki kochanków stały się euroqatem akcji.

„Surogat akcji” nie jest zresztą wyrażeniem dr Stevenson'a. Nie zgadza

się on ze Stoll'em, który reprezentuje taki właśnie pogląd. Jeżeli w związku z tego rodzaju komediami można mówić o jakimś „surogacie”, to jest to według Stevenson'a — surogat romanse. Kochankowie w dyskusjach swych wyrażają dramatycznie podstawowy paradoks miłości, który stanowi sedno jej istoty. „Cały ciężar odwiecznego konfliktu płci — ukrytego nieraz w głębinach podświadomości — przetrucyony jest na błyskotliwe utarczki słowne i erotyczny pojedynek kochanków”. Pewna zasadnicza niewspółmierność leży zawsze między tym, co można osiągnąć w miłości, a tym, czego się w związku z nią pragnie — szekspirowskie wyczucie tej komicznej niewspółmierności jest owocem toczącego się już od 12-go wieku sporu. Rozpatrując te długotrwałe kontrowersje, dr Stevenson nie zapuszcza się nigdy w dziedzinę, leżącą poza jego specjalnością. Punktem wyjściowym jego rozważań jest Owidiusz. „Ars amatoria” i „Remedia amoris” — nacechowane są cynicznym w swej wyjątkowości nastawieniem zmysłowym „Miłość” owidiuszka to erotyzm i tylko erotyzm — przykazania jej to te, którymi kierowali się Gallus, Tibullus i Propertius. Trafiły się co prawda już u Owidiusza rozterki i uniesienia — kończące się, jak w wypadku Catulla, paradoksalną kleską. Pojęcie jednak miłości romantycznej miało się dopiero później ukształtować.

Wpływ Owidiusza na poetów 16-go wieku (Szekspir — Venus i Adonis, Lukrecja; Marlowe — Hero i Leander) przefiltrowany został, nim ich dosięgnął, przez mitologiczną interpretację nauk św. Pawła, głoszoną przez Jeroma i przez średniowieczną szkołę miłości dworskiej. Nosił też na sobie piętno francuskich fabliaux i średniowiecznej poezji satyrycznej. Wreszcie zmodyfikowany został przez naciek ówczesnej rzeczywistości. „Le roman de la Rose” i „Wyznania” św. Augustyna, utwory Chrestien de Troyes i Capellanusa; apostołowie zmysłowej rozkoszy czystości i poszukiwacze ziemskich form dla niezmięskiej miłości; święci i cynicy, teologowie i arzesznicy; sprzeczne dogmaty różnych szkół; teorie, dotyczące rozbieżności pomiędzy literaturą a rzeczywistością; w końcu uświadomienie sobie trudności, jaką przedstawia wierność ideałom w obliczu nieubłaganego świadectwa ludzkich doświadczeń — wszystkie te sprzeczne prądy, wszystkie te postacie i poglądy przefiltrowane miały być jeszcze przez dzieło Chaucera, a przez utwory poetów renesansu i wczesne sonety elżbietańskie — aby w końcu dosięgnąć i ukształtować Szekspira.

Dzieło Chaucera, jak to podkreśla Stevenson, daje nam rozsądną i kompletną ilustrację starego sporu o miłość. Postacie jego są uosobieniami amour courtois, romanse, zmysłowości, czystości — a nawet... zdrowego rozsądku. Pogląd: Mulier est hominis ostensio, nasuwa się co prawda jako ostatnie konkluzja jego opowieści — lecz Cecylia w swej włosiennicy

pod suknią ślubną otrzymuje przeciwagę w gosposi z Bath, Troilus zaś w czcigodnym rycerzu, który decyduje — wprawdzie dość późno, — że „pojąc żonę jest rzeczą szlubną”.

Anglik XVI-go wieku stanął w swym przesiąkniętym literaturą życiu wobec trudności wytworzenia jakiegś możliwej do przyjęcia formy miłości dworskiej. W literaturze zadaniem jego było trzymać się daleko od tego życia. Rozwijano dalej wyniesione z przejściowego okresu XV wieku teorie filo- i mizogeniczne. Przykłady kolizji miłości uświęconej i świeckiej stanowiły wraz z produktami tradycji dworskiej i romantycznej główne pozycje ówczesnej lektury. Pamiętano ataki Christine de Pisan na Jana de Meung (Le roman de la rose). Nie wyszedł martw zaszczytowany przez nią nacjonalizm. Lydygate, Hoccleve i Dunbar prowadzili poetyckie analizy natury miłości — które zasługują na uwagę. Grunt był już przygotowany dla sceptyka renesansu.

Tymczasem trwał spór o miłość. Erazm i Morus przeniesli go z płaszczyzny teologicznej na świecką. Pierwszy z nich w swych „Colloquiach” wyraził pogardę dla monastycznego systemu moralności. W „Utopii” Morusa konwenanse zlekceważone są do tego stopnia, że dozwolona jest przed ślubem wzajemna inspekcja eugeniczna przyszłych małżonków, a fakt niedobrania upoważnia sam przez się do rozwodu. Lecz poeci pozostawali jak zawsze daleko w tyle poza postępową myślą naukową. Utwory ich cechowała platońska interpretacja miłości dworskiej. Prawda, że Sidney i Wyatt borykali się z trudnościami uzgodnienia romanse z rzeczywistością. Dla Spensera jednak miłość była nadal raczej uniesieniem duchowym, niż fizycznym przeżyciem. Utwory dydaktyczne z epoki pierwszych Tudorów, jak na przykład „Governour” (władca) Elyota, lub „Il Cortegiano” (dworzanin) Castiglione'a w tłumaczeniu Hoby'ego zrobiły co prawda niejako w kierunku ściągnięcia całej dyskusji z obłoków na ziemię. Elyot w swej „Defence of Good Woman” (Obrona zacnych kobiet) dedykowanej Annie Boleyn oświadcza, że kochankowie są nudni i tępi w oczach mądrości, pragnie jednak, aby przyznano kobiecie tyleż rozumu co mężczyźnie i zaleca jej studia nad filozofią moralności. „Dworzanin” stał się wzorem gentlemiana. Daje on wysoce sofistyczną analizę realnej miłości. Teoria kardynała Bembo, który opisuje drogę od cielesnych do boskich uniesień poprzez przyjemności platonizmu, zachwiana jest przez odpowiedź Lorda Gaspar'a: „Wierzę” — powiada on — „że droga ta trudna jest dla mężczyzny — jest jednak niemożliwa dla kobiet. „Surrey, Spenser i Daniel wzięli stronę kardynała. Lord Gaspar znalazł zwolenników w późniejszych poetach lirycznych.

Rozważanie poezji elżbietańskiej — sonetów, skarg miłosnych, i satyr w dziełach Wyatta, Sidney'a i Marston'a doprowadza Dr. Stevenson'a do poprzednika Szekspira — Jana Lyly. W „Euphues”, w „Safu”, w „Endimionie” i w „Metamorfozach miłości”, postacie Lyly'ego antycypują Szekspira w swych metodach, jeśli już nie we wnioskach, jakie wypowiadają.

Gdy dochodzimy wreszcie do Szekspira, następuje przegląd jego sonetów, komedii i satyr erotycznych. Sonety interpretowane są jako sardoniczny komentarz sprzeczności, jaka zachodzi pomiędzy wyidealizowaną a naprawdę przeżywaną namiętnością. Niektóre z nich wyrażają pełne gorczy odęgniwanie się od romantycznego sentymentalizmu. Błędniarstwa erotyczne świadczą o sprzeczności seksualnym. Wydrwione są wszelkie wysiłki osiągnięcia miłości doskonałej. Celem komedii Szekspira nie jest danie dramatycznego wyrazu analizie uczuć, lecz pogodzenie sprzecznych elementów, ukazanie rzeczywistości i romanse splecionych w harmonijną całość. Szekspir, według dr Stevenson'a, umiał wyłowić i przedstawić w zrozumiałej formie te sprzeczności i paradoksy, na które natykała się w epoce renesansu większość zakochanych. Zamyka on pierwszą fazę elżbietańskiego przewartościowania odziedziczonych po średniowieczu poglądów na uczucia miłosne. „Ta pełna rozbawienia rezygnacja w obliczu żywołów miłości — jest już składnikiem nowego świata”.

Dr. Stevenson w obronie swojej teorii, podnoszącej nowe zasługi Szekspira, wykazał bezsprzecznie wielką wiedzę, sumiennność i zapał. Jego wyczerpujące, solidne i — źródłowe — dzieło zasługuje z pewnością na całą uwagę, jaką tylko czytelnicy zdolni będą mu poświęcić, stosownie do swych upodobań i doświadczeń. Znajdą się być może i tacy, którzy wdychając „z pełną rozbawienia rezygnacją” „pomysła sobie, że świat zapewne nigdy by się nie dowiedział o miłości, gdyby nie wymyślił jej poeta”. Francis Meres. (Time & Tide)

Oni i my

starzałe. „Słoneczne podróże” polecić jednak można śmiało jako lekturę rozrywkową dla bardziej wymagającego czytelnika.

Panna Eileen Bigland odbyła też wiele podróży, o których możemy dowiedzieć się wszystkiego z jej autobiografii „Zrozumienie niebezpieczeństwa”. Nie uważa ona swego dzieciństwa za zbyt interesujące, w czym zgodzi się z nią zapewne większość czytelników. Więcej ma do powiedzenia o czasach późniejszych, kiedy to kolejno była tancerką razem z Isadorą Duncan, agentką ogłoszeniową w tygodniku ilustrowanym, lektorką firmy wydawniczej i autorką „marnych i lepszych” książek podróżniczych”. Była też współpracowniczką „Action Mosley” („Akcji — organu Moesley'a), gdy czasopismo to było jeszcze w swej początkowej, przedfaszystowskiej fazie.

Zwiedziła Europę, Hiszpanię, Chinę i Abisynię w czasie wojny oraz Rosję w czasie pokoju. Kocha Rosję — a zaraz po niej — Francję. Książka jej jednak nie przykuwa jakos uwagi, tak jakby się można było tego spodziewać po dziejach życia, tak bogatego w wydarzenia.

Nawet krytykom literackim zdarza się czasami podnieść na chwilę nos z nad książek. Pan G. W. Stonier — publicysta o wyglądzie meża stanu, jeździ strzeląc króliki (lub strzeląc do królików), i opisuje metodą „błyskawicznych rzutów oka” swych współtowarzyszy w pensjonacie wiejskim, w którym mieszka (adres nieznany...) 32 strony poświęca swym własnym wyczynom sportowym — wyznaje nam na przykład, że kiedy nie uda mu się trafić kró-

lika, ma zwyczaj pocieszać się strzelaniem z nim „na wariata”. Osobiście nie skąpiłbym trzech szylingów na tę zabawną książeczkę — być może jednak inni uznają tę cenę za zbyt wyśrubowaną, jak na tak krótką broszurkę.

P. M. Levinson, syn rosyjskich uchodźców, Żydów, urodził się 30 lat temu w zachodniej dzielnicy Londynu. Pozostając prawie cudzoziemcem, jest on obcym przybyszem w naszym kraju — przybyłem bardzo mile widzianym, szczególnie — kiedy pisze rzeczy tak dobre, jak „Kłopot z przeszłością”.

Wczesne dzieciństwo spędził Levinson w sierocińcu. Potem przyszedł lata ciężkiego terminowania w fabryce mebli w jakimś ślepych zaułku Londynu, gdzie pracował jako stolarz. Przyszła miłość, małżeństwo, życie z zasiłków; w końcu — uzyskanie posady szofera taksówki. Wszystko to kaže się spodziewać pomurej autobiografii. Nie jest tak jednak. Pan Levinson operuje subtelnościami stylu, które godne są o wiele bardziej wyrobionego pióra. W książce jego znaleźć można uestępy pełne radosnego uroku, obok partii tragicznych i wzruszających. Znaleźć można jowialny humor — i dojmującą gorczy.

Jest w tym, być może, odrobina wpływu Saroyna i rzeczą, której należałoby się obawiać, jest zwiększenie się tego wpływu w przyszłości. Jak dotąd jednak Levinson jest pisarzem tak dobrym, że mogą tylko szczerze poradzić swym czytelnikom, by przy najbliższej okazji nabyli jego książkę.

John Bunting
(Tribune)

Jesteśmy tu znowu, dzieci!

Dzieje pantominy

Kiedy zbliża się Boże Narodzenie, wielu brytyjskich reżyserów teatralnych projektuje wystawienie pantomimy. Te świąteczne rozrywki rozpoczynają się zwykle w dniu tradycyjnego święta narodowego, następnego dnia po Bożym Narodzeniu: Boxing-Day.

Narodziny arlekina

Słownik określa pantomimę jako „teatralną rozrywkę”, w której akcja

zostają niezmiennym. Pierwsza pantomina w Anglii została wystawiona przez człowieka nazwiskiem Arlecchino i nawet dziś rola Arlekina (jak go nazwano) i jego rubaszna gra, są pozostałością starej Anglii.

Nawet wtedy, kiedy pantomimę pokazano już szerszej publiczności w Teatrze Królewskim Drury Lane w 1702 roku — arlekinada była główną częścią przedstawienia. Obecnie jest ona

kazali się w sztuce „Harlequin Amulet” (Amulet Arlekina) w teatrze Drury Lane. Ale od kiedy Grimaldi zeszedł ze sceny, arlekinada przestała być tak bardzo popularna. Następne pantomimy opierały się na niedorzecznych, fantastycznych i nieodpowiednich tematach. Czasem obejmują one historyczne widowiska jak np. „Alfred the Great or Harlequin History” (Alfred Wielki albo dzieje Arlekina) lub przybierają rodzimy charakter, jak np. „Harlequin and the Steam King” (Arlekin i król Pary), napomylające o budowie pierwszych brytyjskich linii kolejowych.

Tradycja

Na początku ery wiktoriańskiej zdarzało się w Londynie, że utalentowane młode kobiety z nadzwyczaj pięknymi nogami bywały wybierane do zagrania głównych ról męskich w pantomimie, podczas gdy aktorzy byli przybrani w szaty kobiece. Wskrzeszało to dawną tradycję rzymskich Saturnaliów, które wypadały w tym samym okresie, co Boże Narodzenie i podczas których aktorzy wymieniali kostiumy z aktorkami.

W latach 40-tych i 50-tych pantomina rozpowszechniła się ogromnie. Co roku dawano ją w większości głównych teatrów londyńskich. Najbardziej znane przedstawienie wystawiano w Teatrze Królewskim Drury Lane, gdzie co roku 6 stycznia po zapadnięciu kurtyny zespół artystów zbierał się na scenie, by wspólnie cieszyć się tortem Trzech Króli. Uroczystość ta odbywała się aż do II wojny światowej. Mamy nadzieję, że w bliskiej przyszłości zostanie ona podjęta na nowo.

W połowie ery wiktoriańskiej pojawił się nowy autor pantomimy — E. L. Blanchard. Spowodował on przewrót w dorocznych przedstawieniach i nadał im formę, według której są wystawiane obecnie. Zartobliwy i dowcipny, pisał on ciekawe opowiadania na podstawie zwykłych, tradycyjnych bajek np. „Cinderella” (Kopciuszek), „Jack and the Beanstalk” i „Aladin” (Lampa Aladyna).

Za czasów Blanchard'a pantomina, chociaż niewątpliwie lubili ją nadal domośli — młodzi duchem, przechodziła coraz bardziej w instytucję przeznaczoną dla rozrywki dzieci. Obecnie z pokolenia na pokolenie

przekazuje się zwyczaj zabierania dzieci na pantomimę w Dzień Bożego Narodzenia i zdarza się, że właśnie tam dzieci doznają swoich pierwszych wrażeń teatralnych.

...i aktualia

Alę prócz bajek i piosenek ładnych dziewcząt przebranych za chłopców, pantomina jest i była sposobnością do pierwszorzędnych aktualnych dowcipów na temat zwyczajów i obyczajów życia brytyjskiego. Publiczność brytyjska lubi sama z siebie pokpić. Byłoby rzeczywiście dziwne, gdyby w okresie Bożego Narodzenia gdzieś w Anglii nie odbyło się przedstawienie „Aladin” (Lampa Aladyna), na którym by „Widow Twankey” (Wdowa Twankey) nie czyniła pewnych aluzji do przydługich chleba, a „Cinderella” (Kopciuszek) nie zgubiła swoich kartek odzieżowych.

Ten popyt na humorystyczną pantomimę przyczynił się do sławy wielu brytyjskich komików. Jednym z najgłośniejszych był Dan Leno, którego oglądano na przełomie 19-go i 20-go wieku. Podobał się każdej widowni dzięki „swemu zwyczajowi kłócenia się z niedorzecznym światem”.

Chociaż Londyn był kolebką pantominy brytyjskiej, prowincje osiągnęły także zadziwiająco wysoki poziom przedstawień. Na pierwszym miejscu postawić tu trzeba wspaniałe pantomimy, wystawione w Glasgow i Manchester. Przed II wojną światową wystawiano rocznie w brytyjskich teatrach około stu pantomin. Tu i ówdzie jakiś znużony krytyk zapytuje: „Czy pantomina zamiera”? Ale mądry reżyser potrząsa przecząco głową: „Pantomina — odpowiada — nigdy nie zamrze; pozostanie jedynym scenicznym zobrazowaniem angielskich legend i bajek”.

Uwaga, dzieci!

Tak więc obiecano ponownie brytyjskim dzieciom, że skoro będą grzeczne, zabierze się je na pantomimę w czasie nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. W pustych teatrach dziewczęta przebrane za chłopców ćwiczą piosenki i tańce. Komicy uczą się nowych dowcipów, a Joey Klown robi próbę swego występu w arlekinadzie. Wybiegnie na scenę z tradycyjnym okrzykiem: „Halo, dzieci, jesteśmy tu znowu!” wiedząc, że będzie przywitany salwą radosnego śmiechu.



Zeszłego roku na Boże Narodzenie wystawiono w Teatrze Cambridge „Lampę Aladyna” Emil'a Littler. Na zdjęciu: Penelopa (koń) i Jack Stanford.

odbywa się przy pomocy tańca i muzyki, a wykonanie wraz ze wszystkimi dodatkami oparte jest na konwencjonalnych postaciach z włoskiej komedii mimicznej”. Kiedy około 1605 roku na dworze króla Jakuba I pantomina została wystawiona po raz pierwszy w W. Brytanii przez aktorów weneckich — przedstawienie trzymało się tych przepisów. Jednakże w ciągu następnych wieków pantomina przeszła wiele przemian na scenach teatrów angielskich, dopóki nie stała się instytucją o charakterze narodowym.

Niemniej jednak, chociaż nowoczesna pantomina różni się od tej początkowej koncepcji, niektóre cechy charakterystyczne jej pierwowzoru po-

odsunięta do ostatniego aktu, a właściwie w pewnych wypadkach wcale nie jest włączona do pantomimy. Jednakowoż większość reżyserów pamięta o jej pochodzeniu; i gdy po głównym przedstawieniu zapadnie kurtyna, tradycyjne postacie Arlekina, Kłowna, Kolombiny, a czasem i policjanta ukazują się na scenie. Znany reżyser pantomimy stwierdził ostatnio: „Jeśli spuścimy kurtynę nie dając dzieciom 10-ciu minut emocjonujących bzdur — wybuchną... zamieszki!”

Jednym z największych mistrzów w sztuce pantomimy był sławny kłown, Grimaldi. Zaznaczył on nowy okres w rozwoju tego typu przedstawienia, kiedy na początku XIX-go wieku u-



Na fotografii widzimy wróżkę, towarzyszącą jadącemu w karetce poprzec scenę Kopciuszkowi. Rolę Kopciuszka gra Carol Lynn, a wróżki Natasha Sokolowa, znakomita tancerka baletowa.

Nastrój gwiazdkowy zawsze ten sam

Wprawdzie życzenie „A Merry Christmas” było zawsze popularnym angielskim zwrotem jednak z upływem lat stare zwyczaje zanikają, a na ich miejsce wprowadza się nowe. Kiedyś dumą uczt świątecznych w Anglii były głowa dzika i wspaniały paw. Lecz smakoliki te znikły zupełnie ze stołów i od wielu lat głównymi potrawami świątecznymi przeciętnego obywatela angielskiego są gęsi i polędwica wołowa. Niektórzy Anglicy, wzorując się na amerykańskim zwyczaju jedzenia indyka w czasie obiadu w „Dniu Dziękczynienia”, kupują indyki, by podać je w czasie obiadu świątecznego. Zwyczaj ten przyjął się całkowicie w Anglii, chociaż w dzisiejszych czasach ograniczeń żywnościowych wielu ludziom nie uda się zdobyć indyka i będą musieli zastąpić go jakąś inną potrawą.

Po indyku, zrobionym ze specjalnymi nadziewaniami, podaje się plum-pudding. Zwyczaj jedzenia plum-puddingu nie jest całkowicie wyjaśniony. Pochodzi on może z czasów, kiedy Jerzy I. przyjechał z Hanoweru do W. Brytanii, by zostać tu królem. Mówiono wtedy o „intronizacji puddingu”. Plum-pudding nie ma żadnego związku ze starą świąteczną potrawą, zwaną plum-porridge, zrobioną z gotowanej wołowiny. Te dwie potrawy mają jednak coś wspólnego. Do plum-porridge wkładano złoty pierścienek i jeśli stary kawaler albo stara panna znaleźli go w swojej porcji, był to znak, że wkrótce staną na ślubnym kobiercu. Do nowego puddingu kucharka (oprócz słodczy) wkłada srebrne talizmany i monety 6-pensowe, które mają prawie to samo znaczenie. Odpowiednio przybrany pudding pojawia się na stole; na wierzchu tkwi z fantazją gałązka ostrokrzewu i — jeżeli można dostać alkohol — pudding otoczony jest niebieskimi płomieniami palącego się grochu. Przynomina to starodawną potrawę zwaną „Snapdragon”, którą podawano na stół również w płomieniach.

Najstarszą pamiątkową potrawą angielskiego obiadu świątecznego są kručie paszteciki, zrobione z mięsa z suszonymi owocami, skórkami i ko-

raninami. Dawniej robiono je z baraniny. Obecnie robi się je przeważnie bez mięsa, lecz przepis na resztę zawartości jest prawie taki sam, jaki był za dawnych czasów.

Stół świąteczny w obecnych czasach będzie najprawdopodobniej ubrany typowymi angielskimi cukierkami, zwanymi „crackers”. Kiedyś Anglicy nazywali te cukierki „Bon-bon” z powodu francuskiego ich pochodzenia. Składają się one z jasnego, zrulowanego papieru, w którym zawinięte są małe zabawki, talizmany albo zabawne papierowe czapki, które przeznaczone są dla uczestników obiadu.

W każdy taki „cukierek” wsunięty jest cienki, brązowy pasek, który pęka z trzaskiem w chwili, kiedy dwie osoby rozrywają opakowanie. Inną

niespodzianką są karteczki, na których wydrukowany jest żart, zagadka albo... oświadczenia miłości.

„Cukierki” te zaczęto wyrabiać w Anglii około 70 lat temu, a zwyczaj ten wprowadził cukiernik o nazwisku Tom Smith, który w czasie podróży po Europie zauważył, że francuscy cukiernicy zawiązują swe wyroby w bibułkę, robią je bardziej atrakcyjnymi. Smith wpadł na pomysł robienia bon-bons tak, by pękały one z trzaskiem, kiedy rzucił kłodę drzewa do ognia i całe serie trzasków rozśmieszyły jego rodzinę. Wyrób tych świątecznych cukierków stał się ważną gałęzią przemysłu. Podczas ostatniej wojny rzadko się je widziało, lecz teraz pojawiły się znowu w sklepach. Owiążęte w kolorowy papier, ocze-

kują one na zbliżające się święta Bożego Narodzenia.

Drzewko świąteczne, ta mała jodełka, jest zwyczajem nowym, z którym poznali się Anglicy około 100 lat temu. Zwyczaj ten został przyjęty przez Niemców, kiedy wieki temu byli podbici przez Gotów. Do Anglii wprowadził go książę-małżonek, mąż królowej Wiktorii. Kiedy urządził on dla dzieci królewskich drzewko świąteczne, podobne drzewka zostały wkrótce ogólnie przyjęte przez angielskie rodziny. Każde drzewko ubiera się błyszczącymi, kolorowymi ozdobami szklanymi, a na szczytce polyskuje czarodziejska wróżka lub amiołek z wosku ze srebrnymi skrzydełkami. Rumiane jabłuszka wiszą na

gałęziach, które osypuje się drobnym proszkiem, by stworzyć wrażenie szronu. Biała wełna naśladuje śnieg. Drzewko zdobią małe świeczki, które zapala się przy uroczystości rozdawania prezentów. Prezenty leżą zwykle pod drzewkiem, które stoi w donicy, zasłoniętej kolorowym papierem. Każdy podarunek jest ślicznie opakowany w specjalny, świąteczny papier i zawiązany złoconą wstążką.

Święta Bożego Narodzenia, ten okres dobrej woli, odznaczał się zawsze w Anglii wymianą prezentów. W dawnych czasach uważano za niegrzeczność pójście z wizytą w tym czasie z pustymi rękami, a gospodarz miał specjalną książkę, w której robił listę otrzymanych prezentów. Nawet zwierzęta dostawały w dawnych czasach dodatkowe jedzenie w czasie świąt. Drugi dzień świąt nazywa się „Boxing-Day” (Dzień pudełkowy) ponieważ w dawnych wiekach kupcy i wszyscy ci, którzy służyli gospodarzowi, przychodzili do niego z pudełkami z wyciętym otworem, by dostać paszporty lub pieniądze. Ten zwyczaj, pochodzący od starożytnych Rzymian, przetrwał do dziś. Prezenty otrzymują piekarz, rzeźnik i inni kupcy, a także listonosze, śmieciarz i wszyscy ci, którzy oddają codzienne usługi ludziom w ich domach.

Jest jeszcze zwyczaj świąteczny, który przyjął się w Anglii w ostatnich 100 latach: to wymiana kart świątecznych, na których wydrukowane są życzenia szczęścia, wraz z ozdobnymi obrazkami. Wprowadził je w roku 1840 John Leech, sławny rysownik humorystycznego tygodnika „Punch”. Kartki te rozpowszechniły się wśród wiktoriańskiego społeczeństwa, przemysł kartkowy zakwitnął a rysunki stały się wymyślne i ozdobne.

W ostatnich latach niektóre z nich wykonane estetycznie i „aerodynamicznie”, były wynikiem pracy najlepszych artystów. W wielu domach umieszcza się te kartki na gymście kominka. Tworzą one dowody pamięci przyjaciół i znajomych, którzy życzą sobie szczerze dobrego, staro „Merry Christmas”.

Kathleen Courlander



W Convent Garden pojawiło się ostatnio wiele ton jemioty. Na zdjęciu uśmiechnięta właścicielka całego pęku tradycyjnej rośliny.

SPORT

WALTER PILKINGTON

Sport odradza się... rekordowo!

Obecny sezon piłki nożnej jest może najciekawszym w historii angielskiego football'u. Dzięki tej gałęzi sportu powiększyło się zainteresowanie i namiętność do sportów w ogóle. Mają one obecnie mnóstwo zwolenników i nie wydaje się, by ta popularność miała się zmniejszyć w przyszłości. Kwitnie wiele zawodów na wolnym powietrzu lub pod dachem. Niezwykle bogaty sezon biegów płaskich zbliża się ku końcowi. Ogólne zainteresowanie dla golfu osiągnęło szczyt.

Zapał dla boksu powiększył się dzięki dynamicznemu wejściu na arenę międzynarodową mistrza ciężkiej wagi, Bruce'a Woodcock. Tenis zyskał nowy bodziec w zapale młodych mężczyzn i kobiet, zdemobilizowanych z wojska.

Zainteresowanie dla lekkiej atletyki spowodowało odrodzenie się setek małych klubów i podągnięto za sobą rekordową frekwencję publiczności podczas zawodów sportowych. Miliony zwykłych robotników spędziło wakacje grając w starą, demokratyczną grę „bovis” (gra polega na tym, że dwóch uczestników rzuca jednocześnie na odpowiednio urządzonej torze kule z drzewa, które powinny się zderzyć). Jest to ta sama gra, w którą nieśmiertelny brytyjski wilk morski, Franciszek Drake, grał na wybrzeżu Plymouth, kiedy dostrzeżono hiszpańską armadę. Gra owa stała się później jedną z najbardziej ulubionych przez kobiety...

Zastępy silnych mężczyzn wróciły z wojska do klubów Rugby. Sport ten bardziej od innych ucierpiał podczas wojny, ponieważ było rzeczą oczy-

wistą, że między graczami Rugby można było znaleźć śmietankę sprawnej fizycznie młodzieży.

Wycigi psów, hokej i pływanie mają mnóstwo nowych miłośników. Pływanie, podobnie jak tenis i golf, zostało wzmocnione nowym narybkiem. W Londynie i innych miastach wprost szaleją za wycieczkami szosowymi.

Piłka nożna bije jednak rekordy popularności. Okrągły milion publiczności przygląda się co tydzień 44 rozgrywkom ligowym. Tysiące innych widzów popiera niezliczone ilości małych drużyn, grających w parkach i na otwartych terenach miast i miasteczek wzdłuż i w szerz kraju. Skromnie licząc, istnieje ćwierć miliona amatorów, młodych i starszych, którzy co sobotę „kopią piłkę”.

Zainteresowanie publiczności do wielkich rozgrywek ligowych wzrosło jak nigdy przedtem i gdyby na boiskach sportowych w niektórych wielkich ośrodkach nie było ograniczonej ilości miejsc dla widzów, niewątpliwie ustanowiono by nowy rekord liczbowy publiczności. Tysiące ludzi zostaje poza zamkniętą bramą tych boisk. Napis „Trybuny pełne” stał się rozkazem policyjnym, by uniknąć wszelkiej możliwości katastrof w tłumie.

Przed ostatnią wojną widziano i kobiety na meczach piłki nożnej. Chodziły one raczej z uprzejmości dla swoich towarzyszy. Gra była dla pięci pięknej jedynie przelotną atrakcją. Dziś znacznie więcej kobiet chodzi na mecze; i one zaraziły się entuzjazmem sportowym.

Daphne Walker

Cecylia Colledge, angielska mistrzyni jazdy figurowej na lodzie, wstąpiła w szeregi zawodowych łyżwiarek. Tym samym dla wielu młodych kobiet, które bezskutecznie współzawodniczyły z nią w przesz-

ci, otworzy się możliwości zdobycia amatorskiego mistrzostwa w jeździe figurowej.

Amatorski tytuł mistrzowski w jeździe figurowej na lodzie zdobyła ostatnio Daphne Walker. Jej wspa-

niały występ wzbudził entuzjazm 9 tysięcy widzów przybyłych na lodowisko Empire, w Wembley — i wysunął ją na czoło dwunastu zawodniczek, które ubiegały się o mistrzostwo.

Olśniewającym występem jazdy w stylu dowolnym zaimponowała ekspertom i podbiła ośmiotysięczny tłum.

Daphne rozpoczęła swą karierę łyżwiarską mając zaledwie sześć lat. Od tego czasu dąży stale do zdobycia mistrzostwa brytyjskiego i światowego.

Poświęca wiele godzin treningowi. Kilka razy w tygodniu jest już od szóstej rano na torze łyżwiarskim, w kółko trenując program mistrzowski.

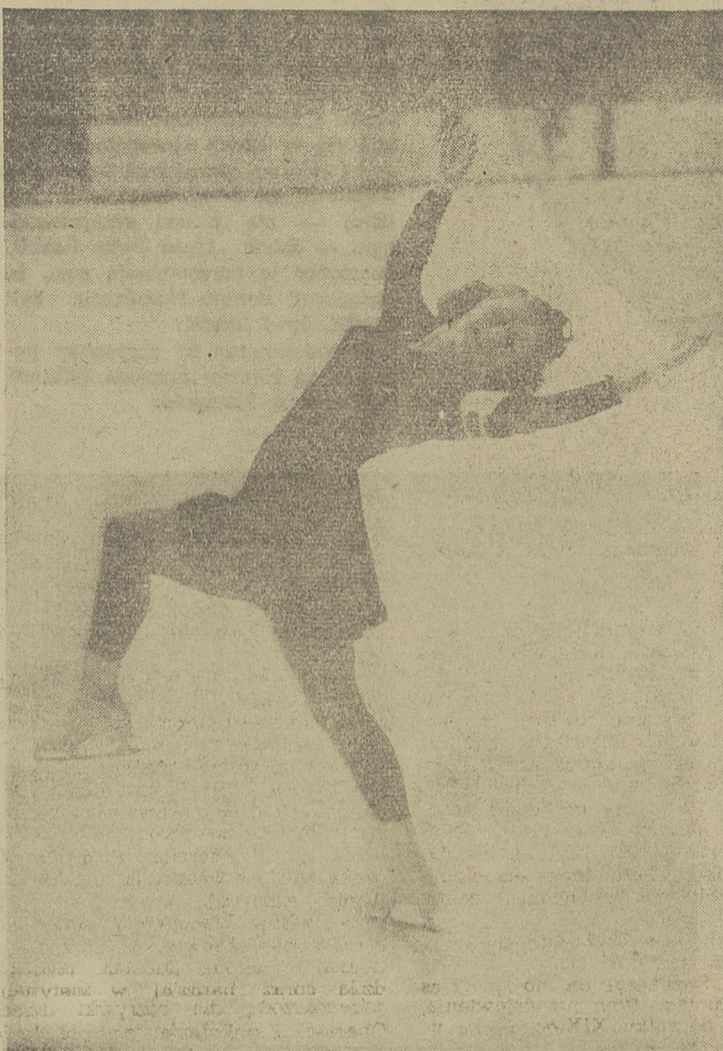
Dobiega południe, gdy odpina łyżwy — następnie biegnie na lekcję baletu. Zdaniem jej, każdy łyżwiarz, który chce być zaliczony do klasy mistrzowskiej, musi uczęszczać na takie lekcje dla uzyskania lekkości i wdzięku; są to wszakże zasadnicze rysy jazdy na łyżwach.

Pięć razy w tygodniu Daphne kładzie się spać o 8-mej. Podczas dwóch pozostałych dni pozwała sobie na rozrywki takie, jak teatr lub kino.

Jej trenerem jest Arnold Gershweiler, Szwajcar, który doprowadził wielu mistrzów do sławy. Ma on głębokie przekonanie, że Daphne zdobędzie w tym roku tytuł mistrza Anglii. Mówi: Daphne pojedzie potem do Szwajcarii, by trenować do zawodów mistrzowskich, europejskich i światowych.

Daphne mówi, że zrobi, co będzie mogła, by zdobyć wszystkie trzy tytuły dla Anglii. Tłum nie peszy jej: „Im większy tłum, tym bardziej mi odpowiada”.

Daphne pracowała podczas wojny w londyńskim szpitalu. Nie opowiada swoich przeżyć; ale świadkami tego, co przeszła, pełniąc swe obowiązki, są zniszczone bombami okolice szpitala.



Mis Daphne Walker na torze łyżwiarskim w Wembley.

CZY PANI WIE...?

JOANNA CHASE

Nowe pole pracy dla kobiet

Nowozałożony związek związek transportowy jest jedną z najbardziej interesujących organizacji, jakie zrodziły się w skutku drugiej wojny światowej; podczas tej wojny wiele kobiet było zatrudnionych w transporcie. Jest to pierwszy tego rodzaju związek w Anglii; członkinie jego rekrutują się spośród personelu towarzystw lotniczych i kolejowych, stacji benzynowych, przedsiębiorstw transportowych i Królewskiego Towarzystwa dla Zapobiegania Wypadkom.

Członkowie zbierają się raz na miesiąc, aby dyskutować o roli kobiety w transporcie i omawiać polepszenie warunków podróży. Wiedzą bowiem z nabytego w wojnie doświadczenia, „jaki można by wyprowadzić zmiany. Ich prezeska, p. Christone Taylor, wzięła niedawno udział w jesiennej konferencji amerykańskich zrzeszonych klubów transportowych. Potem miała objechać przemysłowe miasta Stanów Zjednoczonych i Kanady. Po jej powrocie wprowadzi się w czyn nowe plany, mające na celu pomoc zdemobilizowanym dziewczętom, które pracowały podczas wojny przy transportach. Ma się im zapewnić pracę na odpowiedzialnych stanowiskach przy transporcie cywilnym.

Zmniejszenie kosztów podróży powietrznej, rozbudowa dzielnic podmiejskich i nowych rozgalezień głównych traktów — znacznie rozszerza zakres pracy dla kobiet. Niektóre już wykonały pionierską pracę na swoim odcinku. Jedną z nich, kobieta zamężna i z rodziną, posiada w Leeds własne przedsiębiorstwo transportowe, inna znow ma nadzór nad całym transportem w największym kamieniołomie W. Brytanii.

Kobięce Zrzeszenie Elektrotechniczne również ma nadzieję powiększyć zakres swej pracy zawodowej. Obecnie w W. Brytanii zatrudnia się kobiety w przemyśle elektrotechnicznym. Mają one demonstrować po domach zastosowanie przyrządów elektrycznych. Posiadają podstawową znajomość potrzeb gospodarstwa domowego, a ponadto mają kwalifikacje techniczne w montowaniu i używaniu sprzętu elektrycznego. Mimo to miejscowe władze i prywatne przedsiębiorstwa stosunkowo mało je zatrudniały. Ich pozycja nie została nigdy jasno określona. Zdarzało się przed wojną, że te kobiety o wysokich kwalifikacjach miały tę samą kategorię ubezpieczeń i odszkodowań, co niekwalifikowani pracownicy: woźni i dozorczy.

Obecnie ma się to zmienić, a pertraktacje między przemysłem a kobiecym zrzeszeniem elektrotechnicznym sprawią, iż w całym przemyśle zostanie ustalona skala płac i emerytur. Omówiono szeroko tę sprawę, ponieważ przemysł elektrotechniczny rozpaczliwie potrzebuje wykwalifikowanych kobiet. Coraz więcej bowiem produkuje się sprzętu elektrycznego, nie tylko kucharek elektrycznych, nie tylko kucharek elektrycznych i oświetlenia, ale specjalnych maszynek do robienia tortów, ogrzewaczy i rozmaitych innych kuchennych przyrządów. Mają one być demonstrowane i montowane w nowobudowanych domach. Przemysł zdał sobie sprawę, że nie zdobędzie tych wykwalifikowanych pracowników — których potrzebuje tak gwałtownie — dopóki nie zostaną oni odpowiednio zapłaćeni.

Poza tymi dziedzinami niecodziennych zajęć dla kobiet, zdecydowano ostatnio zatrudnić je jako urzędniczki Opieki Społecznej w dzielnicach górniczych. Po raz pierwszy praca ta stała się dostępną dla kobiety. Niedawno rozmawiałam z jedną z przyjętych tam osób. Przed wojną prowadziła szkołę tańca. Jest zamężna i ma 18-letnią córkę. Kiedy wybuchła wojna, zamknęła swoją szkołę i zo-

stała szoferką ambulansu. Opuszczając to zajęcie, wstąpiła na rok do policji, pracując na odcinku Pomocniczej Służby Kobiet. Zainteresowała się tak głęboko problemami, dotyczącymi młodych dziewcząt i innych kobiet, że zgłosiła się i otrzymała stanowisko kierowniczkę urzędów opieki społecznej w kolejniectwie angielskim. Przez 3 lata kontrolowała dziewczęta pracujące, jako urzędniczki ruchu i obsługujące wagony.

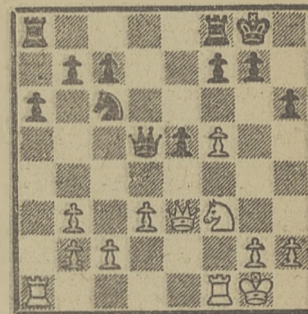
Obecnie mężczyźni powrócili i dziewczęta stopniowo usuwają się od pracy na kolejach. Pragnie więc wypróbować swoje siły w innym rodzaju pracy społecznej; zgłosiła się jako urzędniczka opieki społecznej na obszarach górniczych. Sądzi, iż nadarzy się jej dobra sposobność podjęcia tej pracy, ponieważ „ma tak wiele życiowego doświadczenia”.

To jest przyczyna, dla której kobiety przedują dziś w dziedzinie pracy społecznej. Dziesięć ostatnich lat dało angielskim kobietom tyle doświadczenia w walce o ich prawa i tak wiele kontaktu ze światem zewnętrznym, że mają one nowe i bardziej bezpośrednie podejście do życia. Ich wielki, pozytywny wkład w różne dziedziny pracy społecznej Anglii odczuje w ciągu nadchodzących lat.

Kącik szachowy

Z turnieju o mistrzostwo Wielkiej Brytanii

Milner Barry nie był w dobrej formie w pierwszej połowie turnieju, lecz później znacznie się poprawił. W ósmej rundzie bardzo zręcznie zaatakował z poniższej pozycji.



16. f6 (mocne posunięcie, gdyż Sh4 — f5 i Wa4 — g4 stanowią poważną groźbę dla czarnych) W (f8) e8;
17. Wa4, We6; 18. Sd2, Kh7;
19. Wg4 (Milner Barry znalazł właściwy sposób podtrzymywania ataku. Jeżeli 19... g7xf6; 20. Wh4, f5; 21. Wxf5 z kapitalnym atakiem) Wg8;
20. Se4 (zagrożenie) 21. Sg5 + h6xg5; 22. Hh3 + Kg6, 3. Wxg5 + KxW; 24. W f5 + Kg6. 25. Hh5 mat) ...Kh8;
21. c 3 (czarne groziły Hd4 itd.) Hd8 (konieczne, inaczej 22. Wxg7, WxW; 23. H, hx6 + Wh7; 24. Hf8 mat)
22. Sg5 (szczytowy punkt ataku) Wxf6;
23. Sxf7 + WxS;
24. W, xW, Hd6 (białe groziły: 25. W (g5) x g7, WxW; 26. Hxh6 + itd.), 25. Hg3, g5; 26. Hf2, Wg7;
- 27... Wf8 + Kh7; 28. Hf5 + Hg6;
29. Hc8, czarne rezygnują. Wspaniały przykład agresywnej gry.

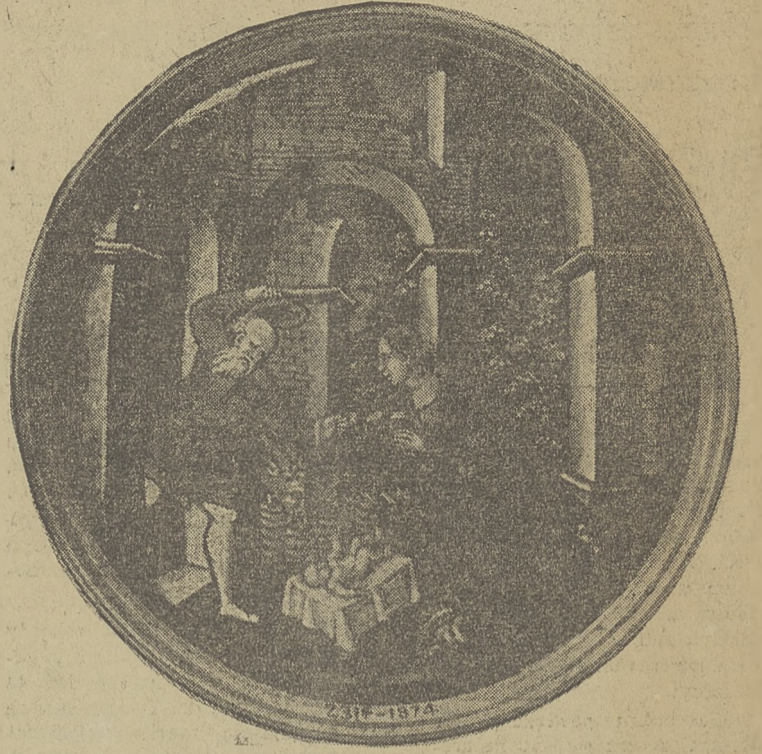
Boże Narodzenie w zabytkach muzealnych

Zwyczaj, rozsyłania kart świątecznych powstał w Anglii stosunkowo niedawno. Uroczą reprodukcją na pierwszej stronie, która przedstawia obrazek, narysowany w r. 1843 przez J. C. Horsleya, jest podobno pierwszą powieloną w Anglii kartą świąteczną. Dikeński, ze swą genialną umiejętnością załatwienia sentymentem wszelkich uroczystości, przyczynił się zapewne bardziej niż ktokolwiek do rozpowszechnienia tego zwyczaju. Reprodukcje zebrane tutaj dają obraz różnorodności sposobów, jakimi artyści uświetniali w przeszłości wydarzenia, związane z Narodzeniem Chrystusa. Od gotyku ku renesansowi (fot. 1, 3, 5) nastrój obrazów staje się stopniowo coraz łagodniejszy, coraz więcej w nim wdzięku i sentymentu a nawet dowcipu, który przejawia się w takich szczegółach, jak wół i osioł na reprodukcji 3-ciej, pies owczarski na 5-tej, wreszcie w uroczym — ale niemal sentymentalnym — dziele Linca Della Robbia. Szczegóły te przypominają nam, że świadkami Bożego Narodzenia byli zwykli, żywi ludzie.

Reprodukcowane tu eksponaty pochodzą ze zbiorów muzeum Wiktorii i Alberta w Londynie.



Witraż angielski, w. XIV.



Emalia na miedzi. Malowane przez Pierre Reymonda, Francja, Linoges. Połowa XVI-go wieku.



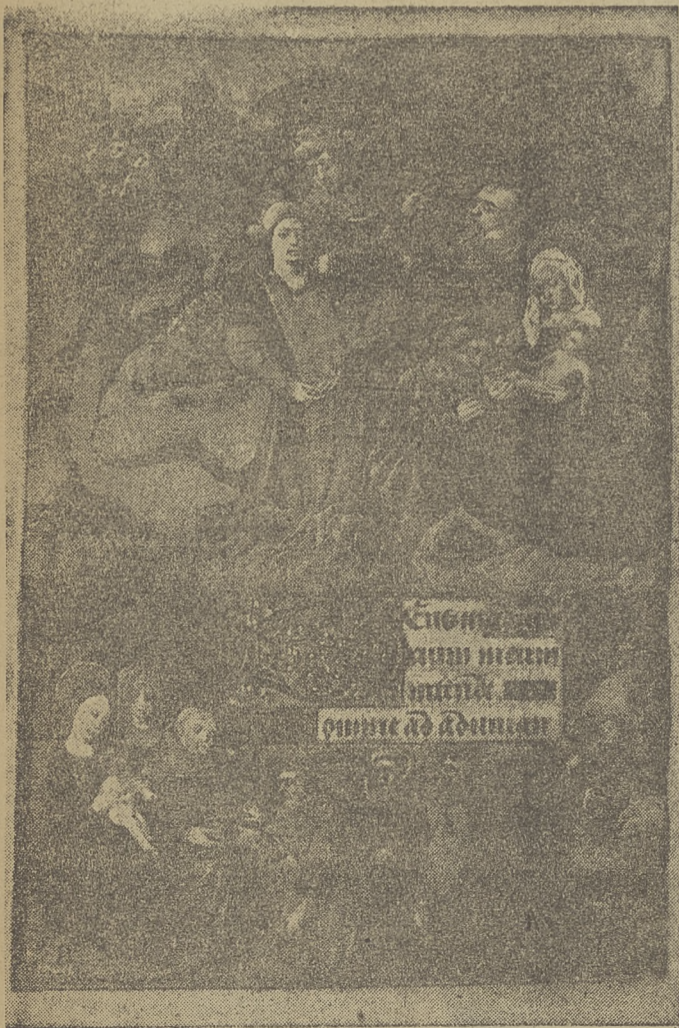
Fragment wstęgi aksamitnej. Tło purpurowe, haft jedwabny i metalowy. Anglia, początek XIV wieku.



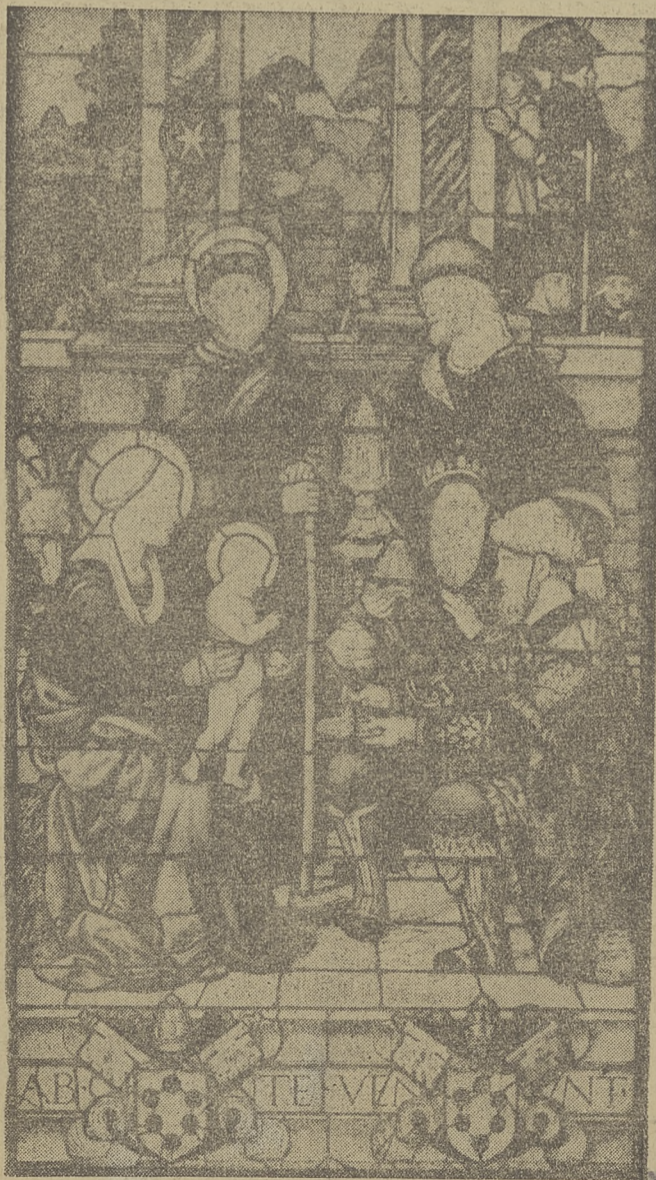
Gobelin. Anglia (Szkoła Sheldon) początek w. XVII.



Fragment wstęgi aksamitnej, tło purpurowe, haft jedwabny i metalowy. Anglia, początek XIV w.



Drzeworyt z książki „Heures à l'usage de Rome”, Paryż, 1525.



Witraż włoski, malowany przez Guglielmo de Marcillat, 1516 r.



Miniatura z brewiarza Margueritte de Foix. Francja, około 1480 r.